Nr. 28. Lwów, Niedziela dnia 11. Lipca 1875 r. Rok II.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sg

LUŹNE UWAGI.

XXVIII.

Wędrówki po kraju.

Chcemy rzucić tutaj kilka słów w kwestji, której ważność wymagałaby zaiste więcej miejsca, aniżeli tych kilkadziesiąt wierszy, które jej tu możemy poświęcić. Być może jednak, że zwróciwszy uwagę ludzi dobrej woli na przedmiot tak wielkiego znaczenia w stosunkach naszych narodowych, wyzwiemy z pod kompetentniejszego pióra obszerniejszy i bardziej wyczerpujący rozbiór danego zadania. My próbujemy dać dobry początek. Mamy na myśli „wędrówki po kraju.“ Pora wakacyjna się zbliża. Młodzież nasza zyskuje parę miesięcy wolnego czasu od obowiązkowych studjów, parę miesięcy zupełnej i szerokiej swobody. W jakiż sposób mogłaby zużytkować te chwile wolne z jak największą przyjemnością dla siebie a pożytkiem dla kraju? Na to pytanie przed dziesiątkiem lat dawały odpowiedź legjony młodzieży Akademji rolniczej marymonckiej, Szkoły Głównej i innych zakładów wychowawczych w Koronie, rozsypując się, bądźto pod przewodnictwem profesorów, bądźto samoistnemi gromadkami, po kraju, z teką w ręku, tłumoczkiem na plecach i młodzieńczym zapałem w sercu. Nie wspominamy o malowniczej stronie tej podróży, o roskosznych wrażeniach tego dwumiesięcznego pobytu na swobodzie, pod bożem niebem, w zetknięciu z naturą, w pośród czarujących krajobrazów ukochanej ziemi naszej — co wszystko uszlachetniający i podniosły wpływ wywierać musiało na duszę młodzieńczą — dosyć będzie, jeżeli wskażemy realne z niej pożytki. Powracali owi wędrowcy z zapasem naukowych wiadomości i zdobyczy, zielnikiem pełnym rzadkich okazów flory krajowej, myślą i pamięcią zbogaconemi tysiącem spostrzeżeń odnoszących się do gospodarstwa i przemysłu, do ekonomicznych i socjalnych warunków naszego bytu. Żadna księga, żaden wykład najgenjalniejszy nie byłyby ich tego nauczyły, co własne doświadczenie i oko. Zdobyte zapasy szły na pożytek pracom specjalnym, a dusza ożywiona widokiem nowych pól do pracy, rozgrzana szlachetną żądzą usunięcia braków, tworzyła tysiące planów, mających stanowić tło przyszłej działalności młodych patrjotów. Na nieszczęście w kierunku czysto narodowym trudno było naówczas, a dzisiaj trudniej jeszcze po tamtej stronie kordonu coś zrobić. Próby zetknięcia się z ludem i oddziaływania na niego smutne wywoływały następstwa. A i w przyszłości, ograniczona uciskiem działalność publiczna młodzieży tamtejszej nie mogła znaleść dosyć swobody dla zużytkowania wielu zebranych spostrzeżeń. Rosły jednak i nigdy marnie nie przepadały zdobycze naukowe i moralne. Takim wędrówkom zawdzięczamy geologiczne i ekonomiczne prace wielu naszych uczonych, cenną działalność Supińskich i Zeisznerów, zbiory pieśni i obyczajów ludowych Zorjana Chodakowskiego, Kolberga, Żegoty Paulego, Kozłowskiego, Zygmunta Glogera; na nich rozwijali pełnię swojego talentu pierwszorzędni artyści i poeci. Nie byłoby bez nich Wincentego Pola ani Kossaka. Bohdan Zaleski tonu dumy swojej nie usłyszał w gwarach miasta; Sewerynowi Goszczyńskiemu nie zjawiły się postacie jego Nebaby i Janosika w dusznych ścianach zamkniętego pokoju. Czy wszędzie jednak tylko takie zdobycze przynieść z wędrówek i zużytkować można dla kraju? Bynajmniej! W Galicji dzisiaj nic nie staje na zawadzie najobszerniejszemu ruchowi młodzieży pod tym względem. Przyszli przedstawiciele i obrońcy interesów kraju mają prawo i obowiązek zbadać i zapoznać się naocznie ze wszystkiemi jego zasobami, potrzebami i niedostatkami. Lud na nich czeka, — a stosunek z nim nigdzie na nich wrogo pomszczonym nie będzie! Jakaż to wdzięczna rola dla młodzieży i olbrzymie zadanie wobec tego ludu? Spojrzyjmy tylko na ościenne Czechy. W ciągu dwudziestu lat oświata zasiana u podstaw i od nich rozrastająca się bujnie w górę; masy ludowe wciągnięte w ogólny ruch narodowy, wspierające wiedzę, lliteraturę, sztukę; na 100 mieszkańców 80 umie czytać; pisma ludowe stoją na świetnej stopie, pierwszorzędne siły działające dzisiaj na rozmaitych polach życia publicznego wyszły z ludu. I któż ten cud wywołał? Wędrówki młodzieży po kraju, skierowane tendencyjnie ku podniesieniu ludu. Sapienti sat!... Nie przeczymy, że u nas byłoby to zadanie trudniejszem o wiele, ale jest możebnem do przeprowadzenia, a palącem jak hamletowskie: „być albo nie być!“ Utorować drogę do tej pracy może tylko częste, poufałe i miłosne zetknięcie się młodzieży z ludem. Niech postać surdutowca przestanie być przedmiotem nieufności i nienawiści — po za obrębem miasta!

Jeszcze słowo!... Pragnęlibyśmy z całego serca, ażeby słowa nasze jak najprędszy wywołały skutek. Jeżeli bowiem kiedy, to dzisiaj szczególniej, wędrówki po kraju zbawienną byłyby rzeczą, dla samej nawet młodzieży. Reakcja, której źródeł nie potrzebujemy wskazywać — odbiła się w złowrogi sposób na essencjonalnie młodzieńczych właściwościach; — zapał, świeżość uczucia, zajęcie się kwestjami patrjotycznemi przerażająco oziębły i osłabły. Wędrówki po kraju cudownym mogłyby na to być lekiem. Rozbudzą one przygnębione atmosferą reakcji duchy, widok piękności ziemi naszej ożywi we wrażliwych sercach młodzieży miłość dla niej, a bezpośrednie zetknięcie się z tysiącem plag i ran ekonomicznych i społecznych natchnie żądzą i zapałem do ich usunięcia!

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Te i tym podobne rozmowy prowadzono koło łóżka, na którem leżał niewiadomo czy trup czy jeszcze człowiek. Lekarze już zwątpili o ocaleniu jego, nie przestawali używać jednak różnych sposobów przywrócenia go do życia. Nareszcie po dwóch godzinach chory dał znak życia ciężkim oddechem, Powoli zaczął przychodzić do siebie, oczy na-

bierały wyrazu a twarz wracała do zwyczajnej cery Nad ranem już przemówił i mógł podnieść się na łóżku; ale przytomność nie wróciła jeszcze. Chory majaczył, mówił coś bez związku. Okazywał przytem pewną lękliwość i niepokój. Zrywał się przestraszony, gdy kto zbliżał się do niego i drżał i tulił się do kąta, prosząc błagalnie, by mu nic nie robiono.

W tym stanie znalazł go Józef, który dowiedziawszy się o całem zdarzeniu, bo wypadek ten stał się głośnym w mieście i wszędzie o nim mówiono — przybiegł wraz z żoną i matką do szpitalu. Chory ich poznał; ale drżał wobec nich, przepraszał i składał ręce, prosząc ich, by mu nie czynili krzywdy. A gdy Józef zbliżył się do niego, aby go uspokoić i przemówił do niego, stary słuchał go z pokorą, nieśmiałością jak dziecko małe, które coś zbroi i boi się kary i chciał go całować po rękach i przepraszać.

Było to zdziecinnienie, które nastąpiło wskutek porażenia nerwów mózgowych. Doktorzy oświadczyli, że stan ten już się nie zmieni, że chory z tem żyć może długo; ale całkiem do przytomności nie wróci.

Nie miał więc po co zostawać dłużej w szpitalu. Nie potrzebował już lekarstw, jeno starannej opieki; przeto Józef zabrał go do siebie.

Nie opierał się wcale. dał ze sobą robić wszystko jak dziecko i jak z dzieckiem trzeba się było z nim obchodzić, karmić go ubierać, prowadzić. Robiło to okropnie przykre wrażenie patrzeć na człowieka, którego się znało pełnym sił, energji, sprytu i życia, ubezwładnionego teraz i pozbawionego pamięci. Poznawał wprawdzie wszystkich, nawet dawniejszych znajomych swoich, rozmawiał z nimi o potocznych rzeczach, ale tego co się stało przedtem, nic nie pamiętał; szczególniej nie pamiętał nic z owej okropnej sceny w sali sądowej. Było to może i szczęście dla niego. O Janie nigdy nie wspominał, a gdy raz przypadkiem ktoś z jego znajomych niebacznie wyrwał się z tem i spytał go, czy występny syn nie starał się go przeprosić, stary obojętnie i spokojnie odpowiedział:

— Przeprosić a za co? Żem go wychował? To było moim obowiązkiem, dałem mu sposób do życia, niech się dorabia, jak ojciec — może zostać panem, wielkim panem. Ja zrobiłem wszystko, co do mnie należało.

Naraz zatrzymał się, położył palec na czole, jakby sobie coś usiłował przypomnieć, a potem rzekł:

— Prawda, nie wszystko, zapomniałem go uczyć pacierza — i... i co to jeszcze — a i czwartego przykazania; jakoś nigdy czasu na to nie było, byłem zawsze tak zajęty, a to ważne, bardzo ważne, i całkiem zapomniałem o tem. Jak go spotkacie, przypomnijcie mu to; to ważne, to mu się przyda.

I dla lepszej pamięci wyjął kawałek papieru, poślinił ołówek i napisał na nim czwórkę, dużą czwórkę.

— Dajcie mu to — rzekł — a niech nie zgubi, to talizman, to szczęście przynosi.

To był jedyny raz. gdzie mówił o Janie. Odtąd już nigdy nie wspominał o nim, i nikt mu także nie ośmielił się więcej przypominać o tem. Starzec szczęśliwym był w swojej bezwiedności, żył wygodnie, jadł z apetytem, przyszedł nawet do tuszy i bawił się struganiem różnych figurek dla dzieci Józefa. Dzieci polubiły go bardzo i lubiły się z nim bawić i on najwięcej lubił przebywać z niemi. Ostateczności zeszły się; zbezsilniała i bezrozumna starość igrała pospołu z nierozwiniętemi jeszcze dzieciakami, i rozumieli się dobrze nawzajem i bawili się wybornie. Najczęściej można było widzieć starego Dylskiego siedzącego na ziemi między dziećmi wśród porozrzucanych zabawek. To z niemi układał domki lub budki z kart, to puszczał im bańki z mydła, to znowu stawał na czworakach, udając słonia lub konia, a małe dzieci siadały na jego grzbiecie i wołały: wio!

Raz bawili się w wojnę, poustawiali na ziemi figurki, które Dylski był wystrugał z lipowego drzewa i pomalował atramentem, i poczęli rzucać na nie kulkami toczonemi także z drzewa. Mały Gabryś z wielką uciechą oddawał się tej zabawie, gonił po izbie za kulami i z ferworem rzucał na figurki a co która się przewróciła to klaskał z uciechy w ręce i wołał: Buch! — i wyliczał po imieniu figurki zabite wołając: to tapral, to jednyrol. to trój.

— A to kto? — spytał Dylski pokazując na większą figurkę, która stała nietknięta.

— To tys jednyrol.

— A kiedy większy znacznie, jak tamten jenerał, co leży pod stołkiem.

— No, to trój.

— A i od króla większy.

— No, to papa trója, — i zamierzył się mały, by uderzyć kulą figurkę.

Ale Dylski wstrzymał go i rzekł surowo, groźnie.

— Ojca nie wolno bić. rozumiesz? To grzech. Okropny grzech, — i schował figurkę do szafy.

Innym razem, gdy się bawili w jakąś grę, w której każdy musiał powiedzieć czem chce być, Gabryś oświadczył, że chce być jednyrałem. mała Helusia chciała być krawcową, aby módz ubierać swoją lalkę.

— A dziadzio czem będzie? — spytały dzieci.

— Zaraz — odrzekł — kolej na Jędrusia, on młodszy odemnie. No, czem ty będziesz?

— Ja będę dużym panem.

— Ja nie chcę — zawołał Dylski tak gwałtownie, że się aż dzieci polękły i z trwogą spojrzały na dziadka — ja ci nie pozwolę być panem, rozumiesz? — i pogroził surowo malcowi, a gdy ten upierał się i bijąc piąsteczką o dłoń powtarzał, że on chce być koniecznie panem i musi być dużym panem, Dylski zaczął go bić niemiłosiernie.

Na krzyk dzieci przyszedł ojciec i stara Dylska.

— Co to? co się stało? — spytał Józef, patrząc na płaczące dzieci i rozirytowanego ojca.

— Dziadzio mnie bije — skarżył się Jędruś.

— Bo mówił, że chce być panem, dużym panem. A ja tego nie chcę — odrzekł Dylski tłumacząc się naiwnie przed synem ze swej zaciętości. Zakaż mu być panem.

— Dziadzio ma słuszność — rzekł Józef łagodnie, chcąc spór załagodzić — tyś się nie powinien sprzeciwiać, skoro dziadzio sobie nie życzy, żebyś był panem, to powinieneś zostać czem innem.

— To czemże ja będę? — spytał Jędruś zadąsany, trąc oczka czerwone od płaczu.

— Będziesz uczciwym człowiekiem — rzekł Dylski rozkazującym tonem, korzystając z poparcia, jakie znalazł w Józefie.

— A co to uczciwy człowiek, czy to większe, niż jenerał?

— To większe niż sam król — rzekł Dylski z głupkowatą powagą — to prawie tyle, co sam pan Bóg.

— Kiedy tak, to ja chcę być uczciwym człowiekiem, bo ja muszę być czemś lepszem niż Gabryś, bo ja starszy.

— No, więc będziesz uczciwym człowiekiem. Tak, to mi się podoba. Za to pójdziesz na barana.

To powiedziawszy przysiadł przed chłopcem na czworakach; Jędruś wydrapał się na plecy dziadka, objął go za szyję i machając nóżkami po bokach wołał: wio, hetta.

Dylski podniósł się z ziemi i udając niespokojnego konia począł wierzgać i brykać po pokoju.

Starej Dylskiej patrzącej na to zakręciły się łzy w oczach i ocierając je ukradkiem szepnęła do syna:

— Boże, co się zrobiło z tego człowieka.

A Józef uspokajając ją, rzekł:

— To jego szczęście, moja matko, że zapomniał myśleć.

X.

Powróćmy teraz do Jana. Przeprowadził on to, czego sobie życzył — Alfred został uwolniony a Helena dotrzymała obietnicy i w parę miesięcy potem została żoną Jana.

Gdyby powieść była tylko fotografją życia, moglibyśmy na tem zakończyć nasze opowiadanie. W życiu bowiem często zdarza się nam widzieć ludzi podobnych do Jana opływających w szczęściu i dostatkach, zadowolnionych; sypiają dobrze bez morfiny i bez wyrzutów sumienia, bogactwem kupują sobie przyjemności życia i względy ludzi, wydają bale, jeżdżą do wód, zostają radcami, posłami. Tak dzieje się w życiu.

Ale powieść nie jest tylko prostą kopją pojedyńczych epizodów życia i chybia swego zadania, jeżeli przestaje na malowaniu typów i charakterów choćby najgenjalniej, na zręcznem plątaniu wypadków i rozciekawianiu. Ona powinna wykazywać głębszą, nieśmiertelną prawdę i sprawiedliwość nurtujące na dnie czynów ludzkich, musi nie tylko mówić: jak? ale i dlaczego? Najznakomitsze typy, najsprytniejsza intryga pozostaną tylko bawidełkiem, sztuczką, jeżeli w nich czytelnik nie doczyta się tego, co go nauczyć podnieść i umoralnić może. Szkodaby było zaiste czasu na przeczytanie kilku tomów po-

wieści na to tylko, aby się dowiedzieć jakie ubranie nosił pan Pafnucy, jaki charakter miała panna Placyda lub przez jakie trudności przecho dzićmusiał pan Gerwazy, zanim się połączył związkiem małżeńskiem z panną Balbiną. Nie pojmujemy celu takich powieści. Anatomja nie jest ostatecznym celem medycyny ale tylko środkiem do poznania ciała, by je potem skuteczniej leczyć można. Powieść, która przestaje na anatomizowaniu serca ludzkiego, opisuje choroby jego i zboczenia, w połowie dopiero spełnia zadanie swoje i środki bierze za cel.

Tak pojmujemy zadanie powieści i dlatego nie zatrzymujemy czytelników u drzwi kościoła, w którym odbył się ślub Jana Dylskiego z Heleną ze Sztolców baronową Rosenkranz; poprowadzimy ich dalej, do mieszkania młodych małżonków.

Małżeństwo to zaspakajało dumę i namiętność Jana. Połączył się z domem, którego stanowisko w świecie łechtało dumę parweniusza, a związek ten dokonał się przez kobietę, która jedna jedyna umiała wzbudzić w suchem sercu egoisty jakiś gorętsze, silniejsze uczucie.

Był więc szczęśliwym, zadowolonym. Wspiął się tak wysoko. Zapomniał już o tem z jakiego materjału stawiał rusztowanie, po którem szedł na te wyżyny; rusztowanie zniszczył, odrzucił i stanął w górze. Zdawało mu się, że teraz dopiero zacznie żyć. Ale na grubo się pomylił. Na tej wyżynie, na której spodziewał się spoczynku, rozpoczęły się jego zgryzoty i troski.

Helena nie mogła zapomnieć mu tego, że zmusił ją do małżeństwa i pokazywała mu to dość wyraźnie, jak trudno jej pokonać odrazę i wstręt do niego i jego pochodzenia. Pieszczoty jego i czułość przyjmowała z przymusem. Napróżno wysilał się na rozmaite sposoby, by sobie pozyskać jej miłość, był naprzemian uległym jak dziecko jej kaprysom i zachceniom, to znowu groźnym i dzikim, nic to nie pomagało. Usiłowania jego rozbijały się o dumną obojętność żony. Miał ją w swoich rękach a jednak nie mógł powiedzieć sobie, że należy do niego; trzymając ją w swoich objęciach doznawał tego uczucia, jakby ściskał marmurowy posąg, który nic nie czuł z tego uczucia, jakie jemu burzyło krew i rozstrajało nerwy. To go przyprowadzało do wściekłości; szalał z rozpaczy. Jedna była na świecie istota, która umiała w zawiędłem sercu samoluba obudzić silniejsze, gorętsze uczucie, i ta kobieta czuła wstręt do niego. To go gryzło i przygniatało. Im bardziej Helena była zimną i obojętną dla niego, tem silniejszą pałał do niej miłością. Była to może więcej chęć władzy nad sercem kobiety, ale ostatecznie każda miłość ma w sobie trochę tej chęci; tylko miłość samoluba dzikiego była spotęgowaniem tego pragnienia ujarzmienia uczucia żony, a tego dokazać nie mógł. Nie mógł duszy uchwycić za włosy, przyciągnąć do siebie i kazać się kochać. Ta niemoc była straszną torturą dla niego. Obojętność Heleny była katem jego, który pastwił się bez miłosierdzia nad nim i mścił się za zgwałcone przez niego prawa ludzkie. Bezwiednie była narzędziem sprawiedliwości. Człowiek, który podeptał najświętsze uczucia, potargał węzły rodzinne dla zyskania sobie miłości, nie mógł wyżebrać kropelki tej miłości dla uspokojenia strasznego pragnienia serca. A to było największą męką, że tego czego pragnął, nie mógł ująć w jakieś słowa i postawić żonie jako ultimatum swych żądań. i nakazać jej: kochaj mnie tak a tak. Byłoby to śmiesznem i nierozsądnem. Nie mógł więc żądać tego od niej i to go dręczyło, że nie może nawet wypowiedzieć tego, co go bolało. Czasem kiedy jej robił wyrzuty, że nie jest taką dla niego, jak być powinna, Helena zapytywała go z ironją:

— Więc jakąż mam być?

— Powinnaś być taką dla mnie, bym przecie mógł z tego się domyśleć, że mnie choć trochę kochasz.

— Powiedz, co robić, spisz mi regulamin, jak mam postępować, co mówić, a nauczę się go na pamięć. Więcej nie możesz wymagać odemnie.

Jan czuł całą słuszność tych słów a zarazem całą ich nieprawdziwość. Słowa te równie, jak całe postępowanie Heleny było całkiem prawne, nie można mu było nic zarzucić, a jednak było okrutne. Jan, dla którego kodeks karny był dotąd jedyną księgą moralności, strasznem doświadczeniem własnem przychodził do przekonania, że jest inna moralność jeszcze. Te bezprawia, do których popełniania czuł się, upoważnionym ustawami kodeksu i szermował niemi przeciw ludziom, zwróciły się teraz ostrzem przeciw niemu samemu i pastwiły się nad nim. Żona jego nie popełniła nic takiego, o co mógłby ją obwiniać, a jednak całe jej postępowanie było winą, było zbrodnią na nim spełnianą, za pozwoleniem kodeksu.

Każdy jej uśmiech przychylniejszy, każdą grzeczność musiał okupywać wielkiemi ofiarami, zdobywać sobie z trudem. Wydawał wielkie sumy na kosztowne prezenta, niespodzianki, na podróże i bale, aby tylko mógł pozyskać sobie kilka łagodniejszych słów, pochwałę, podziękowanie. Starał się odgadywać jej zachcenia, uprzedzać myśli. Był przy niej, że użyjemy tego porównania, jak pies gończy, który uganiał się za polowaniem dla niej przyjemności i patrzał jej czujnie w oczy, gdzie każe mu biedz, co przynieść. Skoro spostrzegł znudzenie na jej twarzy wnet szukał nowych sposobów zabawienia jej, rozerwania. Ponieważ narzekała na brak towarzystwa w Krakowie, gdyż mało kto u nich bywał, więc wywoził ją co roku do wód, do Paryża, do Wiednia. W tem ostatniem mieście przebywali najczęściej, bo Helena miała tam wiele znajomości. Jan robił to przez wzgląd na żonę; ale ustępstwo to kosztowało go bardzo wiele, bo w Wiedniu Helena otoczona była mnóstwem znajomej młodzieży, która jej nadskakiwała, towarzyszyła na zabawach, koncertach, w teatrze i na spacerach. To Jana drażniło; był niesłychanie zazdrosnym. Szczególniej irytował go kuzyn Heleny Otto, który był prawie nieodstępnym jej towarzyszem. Towarzystwo człowieka, który w tak bliskim stosunku był dawniej z jego żoną, mogło gniewać go i wzbudzić zazdrość i podejrzenie. To też kilka razy zrobił uwagę Helenie, że nie zniesie tego. Ale Helena odpowiadała mu wtedy z uśmiechem, że to jest rzeczą męża odpędzać natrętników od żony.

— Jeżeli ci się nie podoba — rzekła — jego towarzystwo, to go wyzwij. W ten sposób pozbędziesz go się najłatwiej. Mnie przecież nie wypada. Dałabym przez to poznać, że jest dla mnie niebezpiecznym, a tak źle znowu nie jest.

Jan musiał przyznać w duszy, że żona miała całkiem słuszność; nie myślał jednak o pojedynku, za mało miał na to odwagi, zanadto cenił życie, by je narażać na strzał rywala. Postanowił tylko pilnować żony i był nieodstępnym jej towarzyszem wszędzie. Stawał się przez to śmiesznym w oczach ludzi, ale był spokojniejszy o żonę, mając ją ciągle na oku, szczególniej, gdy się zdajdowała w towarzystwie Ottona.

Helenę to wcale nie żenowało, nie zmniejszyła przez to swojej uprzejmości dla kuzynka, owszem starała się nawet o to, aby w oczach męża i świata Otto uchodził za jej kochanka. W istocie zaś był on dla niej obojętny. Znajomości jego używała za parawanik do pokrycia rzeczywistych stosunków miłośnych, które miała z jakimś młodym doktorem. Był to człowiek młody, bardzo ujmującej powierzchowności. Helena poznała go u swej przyjaciółki Herminji Rosenstern, ta przedstawiła go jej jako swego kuzynka, w co Helenie nie bardzo wierzyć się chciało, domyśliła się bowiem, że między młodym doktorem a piękną Herminją jest coś więcej, jak pokrewieństwo. A że dwie te panie rywalizowały ze sobą, w strojach i piękności,—co im nie przeszkadzało jednak żyć w przyjacielskich stosunkach; więc Helena tyle robiła, że doktór przestał bywać w domu Herminji i stał się jej wielbicielem. Było to jeszcze za życia jej pierwszego męża. Stosunek ten trwał dotąd i dlatego właśnie Helena tak często przebywała w Wiedniu. Umiała jednak tak sprytnie urządzać wszystko, że nie tylko mąż, bo mężowie zwykle najmniej widzą w tym względzie, ale nawet inni ludzie, nawet najbliższe przyjaciółki, (a te zwykle widzą najwięcej, bo nawet to czego nie ma) nie mogły domyśleć się żadnego romansu między doktorem i Heleną. Jedna tylko Herminja domyślała się czegoś, zazdrość zaostrzyła jej wzrok; ale mimo to nie mogła uchwycić wyraźnego śladu tego domniemanego romansu.

(C. d. n.)

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

Skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Wystawa obrazów we Lwowie w r. 1875.

I.

Jan Matejko.

Noc. Na ziemi śnieg suchy, nad nią ciężkie przeciągają chmury. a na stropie nieba zawieszona lampa bladego księżyca leje światło skąpe.

Na prawo cerkiew — na lewo rusztowanie. W cerkwi płoną świece i pochodnie — na ru-

sztowaniu skrzypią szubienice. W cerkwi przy odgłosie muzyki archimandryta odprawia nabożeństwo z przepychem wschodnim, gdyż na niem znajduje się sam car — a na szubienicach przeraźliwie kraczą wrony, ciesząc się nadzieją obfitego żeru, którego rano dostarczą im ciała wiszących skazańców.

Otworzono drzwi, i z cerkwi wyszli łucznicy z płonącemi pochodniami. Za nimi w towarzystwie syna, archimandryty śpiewającego kościelne kantaty z olbrzymiej księgi, którą mały chłopiec dźwiga otwartą na plecach i dwóch kobiet, postępuje car moskiewski, Iwan Groźny. Za carem, długim szeregiem ciągnie się niezliczony zastęp popów, djaków a w pośrodku nich widać bojara w stroju błazeńskim, z rękoma w tył zawiązanemi, którego na sznurze dokoła szyi obwiązanym potworny kat prowadzi. W każdego ręku to świeca, to pochodnia, — każdego pierś podnosi się to krzykiem, to śpiewem, to przekleństwem. Iwan to wielki car! W cerkwi słuchał nabożeństwa ze skruchą, tem większą, że nieopodal stał bojar, którego skazał na śmierć za namową swego zausznika. Iwan, jako car bogobojny, prosił o szczęście dla siebie, i o spokój dla duszy tego bojara, który za chwilę przeniesie się w lepsze światy. Iwan to dobry car!

Blaskiem tysiąca świateł rozwidnił się widnokrąg — a gdy przodem postępujący łucznicy, uszedłszy kilkadziesiąt kroków, podnieśli pochodnie do góry, car postrzegł szubienice i skazańców, nad którymi zbudzone wrony z wrzaskiem krążyć zaczęły. Iwan musiał sobie podpić, idąc do cerkwi, bo on, który krocie wymordował, nie uroniwszy łzy jednej, ani nie doznawszy najmniejszego drżenia w muskułach swojej twarzy, przeraził się nagle własnego dzieła, a na widok tych ciał w powietrzu zawieszonych, zachwiał się na nogach. Widząc to syn, przyskakuje do ojca z przestrachem na bladem obliczu, aby go wątłem podtrzymać ramieniem — chłopiec dźwigający księgę, z której pijany archimandryta spokojnie dalej czyta, odwrócił się na pół, przerażony, kobiety postępujące za Iwanem jęknęły przejęte grozą i boleścią — prowadzony bojar odwrócił się, pół ciałem, aby nie patrzeć na tych, którzy wkrótce będą ostatnimi jego towarzyszami — w głębi jakaś wiedźma stara podniosła rękę na znak groźby i przekleństwa — popy i djaki śpiewają jak przedtem, a faworyt carski, który spowodował wydanie nowego wyroku śmierci, z szatańskim uśmiechem zwraca się do swojej ofiary, żądając, by podniosła oczy i wzrokiem ogarnęła los, jaki jej zgotował.

Oto chwila, w której Jan Matejko ukazał nam *Iwana Groźnego*.

Cokolwiek wyjdzie z pod ręki genjalnego artysty, lub poety nosi na sobie znamiona jego talentu olbrzymiego. Nawet błąd mistrza, będzie błędem niecodziennym, po którym poznać że go nie popełnił człowiek pospolity. Słowacki powiedział że „gwiazda szczeka“ i w tych dwóch słowach, które w ustach każdego innego śmiertelnika byłyby śmieszne, widzimy genjalną niedorzeczność. Ktokolwiek rzuci wzrokiem na *Iwana Groźnego*, musi natychmiast powiedzieć, że to płótno jest dziełem wielkiego mistrza. Ale z drugiej strony, czy widz nieuprzedzony powie, że jest ono arcydziełem skończonem? Pozwolimy sobie wątpić o tem...

Iwan Groźny nie jest dziełem historycznem, jak dawniejsze Jana Matejki, ale illustracją historji, i prócz tego jednostronną. Jego Iwan Groźny, to nie ten, którego nam przekazała historja, który spokojnie mordował pragnąc na stosach trupów silną monarchję ugruntować; jego Iwan to dziki i równocześnie zabobonny despota, który zabija jak hjena, a lęka się własnego dzieła, jak każdy człowiek słaby. W tym Iwanie jest więcej ze zwierzęcia, jak z monarchy — i dla tego całą postać trudno należycie zrozumieć. A w dodatku jak on stoi! W każdym razie niefortunnie. Pewien profan, który krytyk estetycznych nigdy nie pisał, spojrzawszy na Iwana, odwrócił się do stojących obok osób, i rzekł: „Car, któryby tak stał pięć minut, nie utrzymałby się na tronie dwadzieścia cztery godzin.“ Kto wie, czy mój profan nie miał racji. To by nie był car prawdziwy, ale człowiek, który czasami tylko umiałby pozować na cara. Są krytycy, którzy twierdzą że *Iwana* dla tego niektórzy nie rozumieją, ponieważ jest to „malowidło przyszłości“ jak jest już „muzyka przyszłości“. Być może, że to prawda, ale o tem przekonamy się niestety dopiero w „przyszłości“. Natomiast dziś wolno nam powiedzieć że go nie rozumiemy, jak nie rozumiemy Wagnerowskiej *Zukunfts-musik*, która nie tyle nas zachwyca, co usypia.

Pojedyńcze postacie w orszaku towarzyszącym carowi, są znakomicie ujęte, a pierwszeństwo między nimi należy się bojarowi, który idzie na śmierć z rezygnacją niewolnika. Głowa to po mistrzowsku scharakteryzowana i kto wie, czy nie potężniejsza od głowy samego Iwana. Syn cara, chłopię nie zepsute jeszcze, należy także do skończenie pięknych postaci. Co do układu całości, to może wypadłby on harmonijniej, gdyby car nie rwał się tak bardzo naprzód, gdyż skutkiem tego, dokoła bojara tworzy się nowa grupa i tem samem drugi obraz — a co do kolorytu, zdaje mi się, że złotej barwy jest za wiele. Wprawdzie blask pochodni jest żółty, ale między pojedyńczemi płomieniami, czy żadnej nie ma przerwy? W oświetleniu zaś, białe światło śniegu leżącego na ziemi, walczące z blaskiem księżyca i płomieniami pochodni, nie może być nigdy tak silne jak na obrazie Matejki. Dolne partje powinne być ciemniejsze. Najlepiej wypadły chmury oświetlone księżycem.

Wykonanie szczegółów nie jest zupełne. Artysta widocznie rzecz całą szkicował, a jeżeli zważymy, że rozmiary płótna są za małe, jak na dzieło historyczne, które zawsze domaga się figur naturalnej wielkości, to chyba musimy przypuścić, że Matejko zrobił sobie dopiero plan, który czasem wykończy w większych rozmiarach. Kilkadziesiąt razy wracałem do *Iwana*, i każdym razem odchodziłem z przekonaniem, ze Mistrz krakowski szkicował go bądź dla samej tendencji, aby zestawiony z *Zawieszeniem dzwonu Zygmunta* świadczył czem była wówczas Moskwa a czem Polska — bądź przykładał doń rękę w chwilach niepospolitego rozdrażnienia duszy.

W każdym razie płótno to na wskróś realne nie wywołuje grozy, a że i pięknem nie jest, to ponoś każdy przyzna. Jeżeli w „przyszłości“ sztuka przestanie być piękną, to *Iwanowi Groźnemu* nie ośmieli się nikt nic zarzucić. Dopóki to atoli nie nastąpi, musimy go uważać za dzieło najzuchwalsze, pod wieloma względami nawet najoryginalniejsze, ale natomiast pod względem estetycznym za jedno z najsłabszych Mistrza krakowskiego. (C. d. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

I.

Burza nad głową faworyta coraz się wzmagała. Młodzi dworzanie, widząc się odepchniętymi od następcy tronu, zaczęli szemrać i łączyć się ze spólnikami Bestużewa. Kanclerz obudził śmiałość w Czegłokowych i Razumowskich, poczem wszyscy zamierzyli podać wspólnie skargę do Elżbiety. Bestużew spostrzegł, że nadszedł czas do pomówienia z carową; w tym celu miał z nią potajemną naradę, w której przypomniał, że wiadome jej są ułomności, wady, dziwactwa oraz zbytki, w jakich ciągle zostaje pogrążonym w. książe, a winą całego tego upadku moralnego i umysłowego jest nie kto inny, jak Sałtykow, który dla tem łatwiejszego opanowania księcia otoczył go ludźmi nikczemnymi i rozpustnymi. Prócz tego nie omieszkał obudzić w niej na nowo i to na podstawie najpewniejszych skazówek dawnych podejrzeń, co do występnego stosunku szambelana z w. księżną. Ostatecznie przedstawił go jako zdradzieckiego faworyta, którego miłość własna zagrażała państwu moskiewskiemu najnienawistniejszem panowaniem.

Oburzona carowa postanowiła ukarać Sałtykowa; lecz będąc nauczoną przez w. kanclerza, tym razem użyła środków daleko skuteczniejszych. Wszystko co było powiedziane i słyszane pozostało w tajemnicy; młody szambelan był bliskim upadku, chociaż ukaranie jego okryto pozorem honorowej missji. Zrobiwszy go posłem nadzwyczajnym, Elżbieta, kazała mu udać się do króla szwedzkiego, z zawiadomieniem o urodzinach w. księcia Pawła Piotrowicza. Pyszny Sałtykow przyjął to poruczenie jako dowód nowych łask carowej i pospieszył do Szwecji; lecz zaledwo z powrotem wyjechał ze Sztokholmu, na drodze spotkał go kurjer i doręczył mu rozkaz udania się do Hamburga, gdzie miał pozostać w charakterze posła dworu petersburgskiego. Tu dopiero otwarły się oczy Sałtykowowi i postrzegł jak dalece został wyprowadzonym w pole.

Katarzyna, nie mniej od Sałtykowa zmartwiona tem nagłem rozstaniem, zamierzała użyć natychmiast swojej wymowy i siły przekonywania, by skłonić carowę do odwołania go z Hamburga; lecz kanclerz, który wszystko przewidział, pośpieszył do niej przedstawiając wielkie niebezpieczeństwo na jakie wystawiłaby się w razie powrotu Sałtykowa, przyczem bez ogródek oświadczył, że postanowienie, na które się naraża, nie tylko potwierdzi w zupełności podejrzenia co do jej zachowania się, lecz nadto może ją zgubić. Argumenta tak jasne potrafiły ją przekonać — a pragnienie zaszczytów nakazało umilknąć sercu.

II.

Przywiązanie Katarzyny do Sałtykowa trwało jeszcze pewien czas, a wzajemna wymiana listów pomiędzy nimi nie ustawała. Jego niedola mogła była nawet powiększyć jej uczucie, gdyby nie cudzoziemiec, którego fortuna zaprowadziła na dwór petersburgski a który nauczył Katarzynę zapomnieć o dalekim wielbicielu. Tym szczęśliwym następcą był młody hrabia, Stanisław Poniatowski, który później został wprowadzony przez Katarzynę na tron polski, a następnie przez nią z niego zrzucony. Urodzony zwy-

kłym i nie bogatym szlachcicem, lecz obdarzony prześliczną powierzchownością, i pełen ambicji, Poniatowski dłuższy czas rozwoził swój smutek i próżnię w duszy po Austrji i Francji. W Paryżu doznał uśmiechu losu — polubił go poseł szwedzki i wprowadził do znakomitszych domów; lecz matka jego, obawiając się, by się nie pogrążył w rozkoszach tego miasta, wezwała go ztamtąd do powrotu albo do wyjazdu w inne kraje. Poniatowski w skutek tego udał się do Anglji, gdzie wynalazł kawalera Wiljamsa, z którym łączyła go przyjaźń jeszcze w Warszawie, a który dostawszy missję od londyńskiego dworu na posła do Petersburga, zabrał go z sobą. Nie mając żadnego tytułu, ani stałego zajęcia, młody Poniatowski, pełnił obowiązek sekretarza przy gabinecie posła; z początku zamiarem jego było poświęcić się zupełnie sprawom politycznym, lecz skłonność do rozrywek, do których nawykł za młodu, wiek jego, wreszcie pomyślne okoliczności. które mu się co dzień nastręczały, skłoniły go wkrótce do wejścia na drogę wyszukiwania rozmaitych uciech i zabaw. Wiecznie ożywiony, wesoły, świetny, zdawało się, że był stworzony dla takiego dworu, gdzie zamiast ważniejszych spraw, zajmowano się samemi zabawami. To też Poniatowski dostrzegł niebawem wrażenie, jakie zrobił w sercu Katarzyny; lecz pomimo swojej śmiałości a nawet zuchwałości, nie miał odwagi przed w. księciem i bał się prócz tego szpiegowstwa dworzan, śledzących każdy ich ruch. Kochankowie rozmawiali dłuższy czas samym tylko wzrokiem, wkrótce atoli przyszło do wcale nie krępowanych stosunków. Zawiść śledząca każdy krok, każde poruszenie w. księżnej, dla przyspożenia sobie pociechy wkrótce doniosła carowej i o tym nowym serdecznym związku jej siostrzenicy.

Elżbieta nie kochała ani nie czuła szczególnego przywiązania do swego siostrzeńca, tak samo mało ją obchodził honor w. księżnej, a znając aż nadto dobrze własne niedostatki, była nie wymagającą i obojętną na wykroczenia innych; najwięcej jeśli starała się o nich dowiedzieć. Z drugiej atoli strony nadzwyczajne naginanie się do życzeń tych wszystkich, co stanowili bliższe jej otoczenie, pobudzało ją częstokroć do działania okrutnego, wbrew wrodzonym skłonnościom charakteru. Pod wpływem tego otoczenia wydała rozkaz, by Poniatowski natychmiast opuścił granice moskiewskie. Nic nie pozostawało hrabiemu, jak posłuchać rozkazu.

Podkopując dalej stanowisko w. księcia, po wydaleniu ze dworu Sałtykowa, kanclerz Bestużew używał wszelkich środków dla wzmocnienia swego stronnictwa osobami przywiązanemi do w. księżnej. Z każdym dniem składał coraz więcej dowodów swego przywiązania, pochlebiając jej płochości a nawet jej dopomagając, skutkiem czego doprowadził tak daleko, że mu przebaczyła stratę Sałtykowa. Katarzyna nie potrzebowała dwa razy powtarzać jednej rzeczy, korzystając więc z niewolniczej submissji kanclerza, postanowiła sprowadzić napowrót Poniatowskiego.

Stary minister nie tylko przyrzekł lecz niezwłocznie rozpoczął robotę, uważając młodego Polaka za mniej niebezpiecznego dla siebie od Sałtykowa. Widząc prócz tego, że serce Katarzyny nie może próżnować, wolał by wybór padł na cudzoziemca niżeli na Moskala.

Kanclerz miał poufne stosunki z hr. Brühlem, pierwszym ministrem króla polskiego, którego zawiadomił o sympatjach w. księżnej dla Poniatowskiego i o korzyściach, jakie dałyby się osiągnąć z pobytu tego młodzieńca w państwie moskiewskiem, gdyby mu nadano dla pozoru odpowiednie stanowisko. Hr. Brühl, chociaż pojmował całą doniosłość propozycji, uważał jej urzeczywistnienie za arcytrudne; wypadało dla Poniatowskiego nadwerężyć dwie ustawy: pierwsza polegała na tem, że żaden Polak, który miał starostwo, nie mógł opuszczać granic królestwa, (rzeczypospolitej), a druga przepisywała, że żaden Polak nie może być użytym do spraw zagranicznych saskich, ani żaden Sas do spraw polskich. Ale Brühl umiał często nakazać milczenie prawom, jeśli w tem widział korzyść; tutaj zaś popychała go chęć zdobycia wpływów na dworze petersburgskim i nadto zaprzyjaźnienia się z pierwszym ministrem moskiewskim, którego Sas chciał uważać za główną swoją podporę, co wszystko pokonało elastyczną jego skrupulatność.

Poniatowski został pompatycznie udekorowany Orłem Białym, a wkrótce na radzie tajnej mianowano go nadzwyczajnym ministrem rzeczypospolitej przy dworze carowej Elżbiety, bez jakiegokolwiek odwoływania się do Sejmu. Patrjoci polscy uważali się za mocno pokrzywdzonych tym postępkiem, wiedząc prócz tego, że nowy minister jest kreaturą Czartoryskich, tudzież stronnikiem Anglji i Prus.

(C. d n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Wyprawa po zboże.

Przebiegli Barysi rozkoszowali się w podstępnej taktyce wojennej, puszczając się jak tygrysy na dzienny łup; ze wszystkich stron ukazywali się, podzieleni w małe grupy, podążając z dalekich wsi, aby rozbiegłszy się w różnych kierunkach, szukać szczęścia w śmierci żołnierza napotkanego bez broni.

Słońce już zeszło, mogłem więc teraz doskonale przez lunetę śledzić ich ruchy. Od czasu do czasu ukazujące się ciemne postacie, ginęły nagle w wysokiej durze, aby za chwilę wychylić się znowu z trawy, pomykając ku zaroślom. Co raz bliżej czarne ich ciała rysowały się w szybkim przelocie ku ulubionej sieżce, wzdłuż koryta rzeki prowadzącej; chytry tygrys leciał sam na oślep w zastawioną zasadzkę. Nagle ozwał się strzał, a z bliskiej trawy nadbrzeżnej dwa drugie odpowiedziały mu prawie jednocześnie, poczem ujrzałem kilku murzynów w całym pędzie zwracających się w przeciwną stronę; tam znowu strzał za strzałem powitał przebiegających. Wtem wypadł jeden z krajowców, tuż za nim podążał żołnierz. Z wielkiem zajęciem śledziłem ich poruszenia; przestrzeń między nimi coraz się zmniejszała, żołnierz bowiem był niepospolitym biegaczem, i choć obciążony ubraniem, bronią i amunicją doganiał murzyna. Uciekający widząc się w niebezpieczeństwie, odrzucał kolejno łuk, strzały i lancę, a ulżywszy sobie w ten sposób, odsadził się o kilkanaście kroków od żołnierza, i niebawem obadwa wpadli w durę. Natychmiast rozległ się strzał, który zakończył pogoń. Przez cały dzień słychać było w różnych kierunkach, pojedyńcze strzały, a kiedy wieczorem trąbka zwołała rozstawionych w zasadzkach ludzi, każdy miał jakąś przygodę do opowiedzenia, ciesząc się dobrym skutkiem obmyślanego manewru. Codzień rano żołnierze wybierali się z wielką ochotą, na tę wyprawę, zabierając z sobą na cały dzień żywność a niektórzy z nich okazywali nawet wiele sprytu w tego rodzaju operacjach. Wyszczególniał się zaś między nimi jeden z „Czterdziestu“ Ali Nediar, ten właśnie, który pierwszego dnia tak zwinnie gonił Barysa. Był on rodem z Kongo, szeroko zbudowany i muskularny, z nogami jak u konika polnego, a tak szybki w biegu. że prawdziwą było przyjemnością patrzeć jak mijał swoich współzawodników, ilekroć sprawiłem im przyjemność, naznaczając nagrodę w wyścigach. Ali był przytem dobrym żołnierzem, zapamiętałym miłośnikiem płci pięknej, i doskonałym tancerzem, posiadał zatem wszystkie przymioty które w Afryce stanowią palmę pierwszeństwa. Kilka dni takich zasadzek, do tego stopnia dopiekły krajowcom, że nie śmiejąc posuwać się w nasze sąsiedztwo, wdrapywali się na drzewa, kierując z wysokości poruszeniami swoich szpiegów, i mając na oku całą okolicę. Ale nie dozwolił im Ali Nedjar nawet tej swobody. Wyszpiegowawszy ich na drzewie, stojącem w pośrodku pola zarośniętego durą, zkąd rozglądali się po wszystkich stronach, czy kogo z nas nie dojrzą, aby napaść znienacka, podczołgał się na rękach i kolanach, i wymierzywszy jak do ptaka, strzałem strącił jednego. Plan takiej wojny okazał się bardzo skuteczny; niezadługo Barysi wynieśli się całkiem z naszego pobliża, oświadczając później, że było by niedorzecznością bić się z ludźmi, którzy mają zasłaną ziemię żołnierzami, wyskakującymi prawie z pod nóg, gdzie tylko stąpić.

Cały miesiąc spędziliśmy u Belinian, i zdołaliśmy całkowicie podbić mieszkańców, a opuszczając ich strony, raz jeszcze oświadczyłem im moje postanowienie, że odwidzę ich niewątpliwie, jeżeli nie dadzą nam pokoju w Gondokoro.

Około tego czasu przybył do mnie Abou Saod z czterdziestoma ludźmi, prosząc o pozwolenie odpłynięcia do Karthum, które mu z całego serca udzieliłem.

Kilka dni zeszło na przenoszeniu zboża do głównej kwatery, która to czynność zajęła wszystko, co żyło w obozie. Gdyby moi ludzie byli pracowali jak się należy, mielibyśmy już zapas zboża na rok cały, gdy tymczasem z powodu tej niczem niezwalczonej niechęci, nie zdołaliśmy zabezpieczyć więcej jak 670 szefli.

Chociaż wraz z wojskiem dzieliłem trudy, wyprowadzając je prawie zawsze zwycięzko z przykrego nieraz położenia, mimo to tak oficerowie jak i żołnierze doznawali uczucia głębokiej niechęci nie tyle do mojej osoby, co do systemu ostrej dyscypliny i porządku, jako też celu wyprawy. Żaden z nich nie mógł bowiem pojąć, jak można w otwartej wojnie zabraniać porywania kobiet i dzieci, które podług wszelkich praw mahometańskich są niezaprzeczalną zdobyczą zwycięzcy. W ich pojęciu nie było to niecnem polowaniem na ludzi, ale poprostu nagrodą, którą Bóg dobrowolnie w ręce zdobywcy oddaje. Pozbawienie więc tak uprawnionego zysku, zdobytego tylu trudami, było w ich przekonaniu barbarzyńskim zakazem. Gdybym tym argumen-

tom nie był przeciwstawił stanowczego i surowego oporu, w krótce ekspedycja wysłana dla zniesienia handlu niewolnikami, stałaby się była sama handlującą kompanją. I tak już mimo czujnej baczności z mej strony, kilku moich oficerów w brew zakazowi dopuściło się jawnego przekroczenia, zakupując 126 niewolników z różnych stacji handlarskich.

Moje postanowienie zatem co do zaostrzenia dyscypliny poszło bardzo nie w smak panom wojskowym, jak niemniej i system rządu, który starałem się ustalić, a który wymagał sprawiedliwości i protekcji udzielanej każdemu, bez względu, czy był niewolnikiem, czy wolnym. Nie mięszałem się wprawdzie w sprawy dawniej kupionych niewolników, którzy przed objęciem przezemnie władzy nad wyprawą, byli już własnością oficerów, ale nie pozwalałem, by się pastwiono nad niemi. Tak razu jednego stanął przedemną, mały abisyński chłopiec, zaledwie jedenaście lat mający, cały pokaleczony; biedak ten, po odebraniu strasznej chłosty od swego pana, który był kapitanem w pułku egipskim, kryjąc się w trawie, żeby ujść baczności straży, dostał się na mój okręt, błagając o pomoc i opiekę. Nieszczęśliwy, prosił o wolność, którą mu natychmiast udzieliłem. Kara utracenia niewolnika była dobrym środkiem przeciw złemu obchodzeniu się z biednymi ludźmi, ale jednocześnie czyn ten został bardzo źle przyjęty przez armję. Chociaż z przykrością widziałem dokoła objawiające się niezadowolenie; ale postanowiwszy nie opuścić raz obranej drogi, pocieszałem się myślą, że złe usposobienie było koniecznym wynikiem nagłej reformy, która tyle interesów krzyżowała. Mając rozkaz obalić handel niewolnikami, i ponieważ obrzydliwy ten handel musiał koniecznie być zniesiony, postanowienie moje było przeto niezłomne, a co do złej woli armji pocieszałem się nadzieją, że z czasem dojdę do takiej władzy nad uczuciem moich ludzi, iż wprowadzając reformę, powiedzie mi się jednocześnie wykorzenić w nich wszelką niechęć.

Tymczasem mała moja stacja coraz stawała się ładniejszą a otoczona dosyć dużym nasypem i rowem, była zabezpieczona od nieprzyjaciela. Tuż koło okrętu przybitego do brzegu, wznosił się nasz mały domek, otoczony ogródkiem, a nieco dalej ciągnęły się dwa morgi starannie uprawnej bawełny egipskiej, co wszystko razem tworzyło mały obrazek cywilizowanego świata, rzucony w środek dzikiej Afryki. Sanitarne ulepszenia były starannie zaprowadzone w tem ustroniu, to też rzadko pojawiały się u nas choroby, gdy tymczasem blisko 400 ludzi cierpiało w głównym obozie, na rany w nogach i inne dolegliwości.

Służba była także na drodze ogromnego postępu; ci co pochodzili z wyzwolonych niewolników, wyuczyli się swoich zatrudnień, stając się coraz bardziej pożytecznymi. Moja żona wziąwszy pod swoją opiekę kilka młodych dziewcząt, i sześciu chłopców, wyćwiczyła ich doskonale w obowiązkach zajęć domowych. Ubrani zawsze czysto i schludnie, trzymani prócz tego w wielkim rygorze, w krótce wyrobili się znakomicie. Celował między nimi wyzwolony Abisyńczyk, Arman, ładny i zgrabny chłopiec, który był prawie biały w porównaniu ze swymi towarzyszami, a co do inteligiencji, okazywał ogromną wyższość nad rasą murzynów centralnej Afryki.

Dziewczęta zostawały pod dozorem starej Karki, która towarzyszyła nam pod czas pierwszej podróży; kupiłem ją w Khartum za znaczną sumę, i obdarowałem wolnością, z czego była nadzwyczaj dumną. Poczciwa kobieta bardzo się do nas przywiązała a miała tylko jedno śmieszne upodobanie, mianowicie lubiła się stroić, i przy każdej nadarzającej się sposobności, ubierała się w obłoki białego muślinu z ponsowemi frendzlami i wstążkami, z których wyłaniała się twarz szeroka i spłaszczona, promieniejąca uśmiechem wewnętrznego zadowolenia.

Stara Karka była rodzajem ochmistrzyni, strzegącej moralności i serc młodych dziewcząt, chociaż sama nie mogła uchronić się od silnych jego uderzeń na widok jednego kaprala z „Czterdziestu.“ Była nawet oskarżona o tajemne posyłanie mu przysmaków, starannie własnemi sporządzonych rękoma, czem odwoływała się do jego żołądka, który w afrykańskich konkurach wiedzie prosto do serca.

XIII.

Intrygi w obozie i wojna o zboże.

Zaraz po powrocie moim z Bełinian rozkazałem, żeby trzydzieści okrętów było gotowych wrócić do Khartum. Nie odesłałem ich pierwej, wioślarze bowiem byli mi potrzebni przy budowie obozu i zbieraniu zboża, ale teraz mogłem ich bezpiecznie odprawić, zwłaszcza że w tej porze, to jest w listopadzie, Nil jest w całej pełni swoich wód, z pustemi okrętami i z prądem wody mogli zatem bez wielkich trudności dostać się do Khartum.

Największym nieprzyjacielem ekspedycji był bezwątpienia Nil, który ciągle stawiał nam przeszkody najtrudniejsze do zwalczenia. Zaraz w początkach w trudnym mozole przerżnięcia się przez jego zatamowane koryto, trzeba szukać pierwszego objawu zniechęcenia, który kończąc się śmiercią wielu ludzi, pozostawił w innych nasienie nieukojonej tęsknoty. Byliśmy jakby odcięci od reszty żyjącego świata, po przebyciu rzeki, co podobna do mitologicznego Styksu, wyrzucając nas na wybrzeża dzikiej krainy, pozostawiła bez możności jakiejkolwiek komunikacji; w dodatku znajdowaliśmy się pośród nieprzyjaznych duchów, od których z bagnetem w ręku, trzeba było wydrzeć żywność, lub umrzeć z głodu bez ratunku. Gdyby Nil był dziś tą samą spławną rzeką, jaką widziałem go lat temu parę, gdym pierwszy raz po nim żeglował, nie miałbym był żadnej trudności w zwalczeniu złej woli moich oficerów, gdyż potrzebowałem tylko uwiadomić bezzwłocznie wice-króla o ich sprawowaniu; ale w tym stanie rzeczy, byliśmy tak samo straceni dla świata, jak gdybyśmy na księżycu zamieszkali. Często nawet sam potajemnie w duszy czułem zwątpienie, i tem łatwiej pojmowałem to uczucie w drugich, zwłaszcza, że oni nie sympatyzowali z całą ekspedycją; ale mnie nie było wolno powątpiewać, miałem bowiem obowiązek doprowadzenia do skutku reformy, bez względu na jakie natrafię przeszkody.

Na domiar naszych niepowodzeń, wybuchła dobrze znana afrykańska zaraza na konie, i mimo wszelkich starań i zaprowadzonych ostrożności konie moje zaczęły zdychać. Choroba poczyna się zwykle smutkiem, spowodowanym szybkiem zaatakowaniem serca, poczem następuje obrzmiałość głowy, sztywność i puchnięcie szyi, wysadzenie na wierzch oczów zaszłych krwią, wydobywanie się nozdrzami zgniłej, cuchnącej materji co wszystko kończy się śmiercią w konwulsjach Koń mój, faworyt, The-Pig, podpadł tej słabości; z niezmierną troskliwością sam koło niego chodziłem usiłując go uratować, ale w kilka dni zauważałem wypełniające się dołki nad oczami, co było aż nadto prawdziwym objawem rozwiniętej choroby, to też przeszedłszy wszystkie jej stopnie, w tydzień uległ nieszczęśliwemu losowi. Z dwudziestu przeszło koni przyprowadzonych z Kairu, nie zostało wkrótce jak siedm. Rok ten był w dodatku bardzo niekorzystny dla rolnictwa, z powodu niesłychanej posuchy, której miejscowość Gondokoro często podpada. Otoczenie wysokich gór sprawia, że przyciągane ku nim chmury, tam się wylewają obfitemi deszczami, bardzo rzadko spadając na lekki i piaszczysty grunt tutejszy. Wysepki tylko Nilu mogą zawsze dać obfity zbiór, korzenie bowiem roślin zapuszczając się w głąb pulchnej ziemi, mają dostateczną wilgoć, czerpaną z rzeki, ale zboże, któreśmy na jednej z nich uprawiali, prawie wszystko zostało zjedzone przez ptaki, z powodu opieszałości moich ludzi. Teraz, gdy z jednej strony posucha wypaliła ziarno niedbale w grunt rzucone, a z drugiej ptactwo szkody narobiło, ludzie moi zaczęli się skarżyć, że w Gondokoro nigdy nic się nie uda.

Tymczasem Abou Saood nie odjechał; jego przybycie zatem do Belinian, z prośbą o pozwolenie powrotu do Khartum było tylko podstępem.

Wieczorem 13. październikа 1871 r. przyniesiono mi list pułkownika Raoufa Beja, w którym znajdowały się dołączone drugie dwa pisma. Jedno było wystosowane od oficerów armji do swoich podpułkowników, a drugie od podpułkowników do samego pułkownika, przedstawiające petycję oficerów, z dołączeniem własnych użaleń; wszystko zaś było poparte gorącem wstawieniem się Raoufa Beja. W całej tej pięknie ułożonej korespondencji, przebijało postanowienie oficerów i żołnierzy opuszczenia wyprawy i powrócenia do Khartum. Prośbę potwierdzały pieczęcie wszystkich oficerów, z wyłączeniem pułku „Czterdziestu.“ Przypatrzywszy się lepiej listom, zauważyłem, że wszystkie były jednym pisane charakterem, pochodziły zatem od jednej osoby, i były zapewne rezultatem uknutej zmowy między pułkownikiem Raoufem Bej a jego przyjacielem Abou Saoodem. W pierwszej chwili po odebraniu tych listów, byłem zniechęcony do nieopisania. Co robić z takim nędznym materjałem, któremu powierzono wielką wyprawę, mającą na celu zaprowadzenie reform, i rządu cywilizacyjnego w środku dzikiej Afryki! Chwilę nawet zdawało mi się, jakoby wszelka nadzieja powodzenia znikła na zawsze.

Niechcąc atoli zniżyć się do odpisywania na te petycje, kazałem podać sobie konia, i pojechałem do głównego obozu. P. Higginbotham był słaby; tak samo kilku Anglików i p. Marcopolo; ale mimo to trwali silnie w postanowieniu nie opuszczania ekspedycji, zdając się na los, jaki nas spotkać może. Usłyszawszy to od nich, wysłałem zaraz porucznika Bakera do pułkownika Raoufa Beja, żeby niewspominając nic o listach, zaniósł mu następujący rozkaz: „Pułkownik Raouf Bej, ma być gotów z sześcioma kompanjami pod bronią na godzinę drugą rano, i czekać dalszych rozporządzeń.“ Higginbothamowi, pod którego komendą zostawały statki, poleciłem równocześnie, aby były gotowe trzy duże okręty, i jeden mały do przewiezienia armji, która razem z wioślarzami miała z sobą zabrać na dwa dni żywność. Zamiarem moim było dotrzeć prosto do wysp Bari, na południe od gór Regiaf, a jeżeli ztamtąd

uda mi się nagromadzić dostateczny zapas zboża, czego się prawie na pewno spodziewałem, będę mógł zgnieść i obalić uknuty spisek przeciw wyprawie. (C. d. n.)

STANOWISKO FILOZOFJI

KAROLA LIBELTA,

i stosunek jego do innych współczesnych filozofów polskich.

Napisał

DR. A. MOLICKI.

(Ciąg dalszy.)

Aby jasną uczynić całą tę polemikę, muszę jeszcze ogólnie określić istotne dziejowe znaczenie tej cechy. Otóż, chcąc mieć właściwe pojęcie cechy narodowej, nie należy brać jej w znaczeniu pospolitem, jakie przywiązujemy do pamiątek, zabytków i obyczajów krajowych, bo tem zniżylibyśmy tylko jej stanowisko. Należy ją brać w znaczeniu Irydyjona, w znaczeniu missyjnem, bo takie jest jej wieszcze piętno.

A teraz co do walki tych, którzy widzieli w niej umiejętność uniwersalną, powszechną. „Ci panowie — mówi o przeciwnym obozie dr. Kremer — wtedy tylko będą mogli się spodziewać osobnej dla każdego narodu filozofji, gdy każdy naród wymyśli sobie osobną dla siebie matematykę, fizykę, chemję itd.*)“

„Tymczasem samo doświadczenie z historji filozofji nabyte uczy, odpowiada dr. Libelt, że rzeczywiście filozofje były narodowe, że była filozofja indyjska, chińska, grecka, niemiecka, i że każda miała swoje osobne pierwiastki, które się tylko w łonie tego, a nie innego narodu rozwinęły. Ztąd wnosić należy, że owa pozorna sprzeczność filozofji i narodowości, jako ogólnika i szczególnika, na pojęciu rozumu ugruntowaną być musi. Jakoż prawda ta wypływa bezpośrednio z kategorji jednostki, będącej kojarznią ogółu i szczegółu. Filozofja, jako taka, jest abstrakcja, jest martwość, jest myśl — filozofja jako żywotna, osobowa, jest jednością myśli Boga (ogółu) i narodu (szczegółu)...“

„W narodowościach złożone są zarodki przyszłego rozwoju ducha, zarodki urożnicowane różnością ich plemienną, i na odwrót stanowiące ową różność plemienną. Jedne z nich są jak embrjony, dla odległej jeszcze zachowane przyszłości — inne się wyłaniają do życia — podrastają inne....

„Narodowości więc są kreacji Bożej, i kto się na nie targa, na Boga się targa i bunt przeciwko wiekuistemu duchowi podnosi, bunt nad wszystkie bunty najstraszliwszy — ale mimo to slaby i bezskuteczny, bo zarodków przyszłych przeznaczeń ludzkości, żadna siła ludzka nie wytraci.

„Duch wiekuisty nie tylko jest duchem dziejów, religji, prawa — ale i duchem filozofji, to jest duchem, pojmującym siebie samego przez wiedzę. Tak jak coraz nowy postęp w życiu społecznem narodów rozwija się przez coraz nowy naród, dla tego, że ten nowy naród przynosi z sobą takie właśnie „pierwiastkowe usposobienie“ ducha swego, iż mocą tej siły wewnętrznej zdolen jest wyrobić z siebie to nowe dziejów stanowisko, tak i na nowy szczebel pojęć ludzkich pcha się i wdrapuje nowy naród, mocą tego samego osobnego duchowego zarodu, który tlał od wieków w łonie jego i tworzył i ociepłał narodowe jego życie.

„I oto przyczyna, że nowy system filozofji, w fundamentach swoich od panującego systemu różny, a posuwający go o jeden szczebel wiedzy ludzkiej wyżej, nie tylko może, ale nawet „musi z narodowego,“ innoszczepowego pierwiastku wypłynąć. Z czego zarazem i ta prawda wynika, że żądać od narodu panującej filozofji — na narodowych żywiołach rozkwitłej i przekwitłej, aby w siebie inny, z narodowemi pojęciami sprzeczny pierwiastek przyjął i w nowy wyższy system rozwinął, jest to żądać niepodobieństwa.

„A zatem nie tylko filozofja może być narodową, ale „nie ma innej tylko narodowa.“ I to już przyczyna główna, dla czego się np. filozofja grecka u Rzymian nie przyjęła, mimo usilnego przykładania się do niej za czasów Cycerona; czemu i niemiecka filozofja ani na romańskie, ani na słowiańskie ludy stanowczego wpływu nie wywarła.

„Ztąd oraz pokazuje się, które umiejętności są narodowe, a które niemi być nie mogą. Tam jest narodowość w umiejętności, gdzie jest rzeczywisty objaw żywota ducha wiekuistego, to jest, gdzie duch rozwija się w sobie przez pojęcie pełni siebie — przez wiedzę intensiwną — a zatem w filozofji, w religji, w prawie, w sztukach pięknych, w literaturze, w instytucjach społecznych. Albowiem takie rozwijanie się ducha dzieje się stopniowo, za pomocą różnych pierwotnych usposobień narodowych. Tam zaś nie ma narodowości w systemie umiejętnym, gdzie tylko objaw oblicza tego ducha, raz na zawsze w odwiecznych i nieodmiennych prawach utajonego, gdzie jest pojęcie rozłogi jego, gdzie wiedza ekstensiwna — zatem w matematyce, w naukach przyrodzonych, w astronomji, w sztuce lekarskiej itp.

„Tym sposobem rozwiązują się zarzuty które zwykle czynią przeciw nazwie narodowej filozofji. Nie idzie jednak zatem, aby filozofja narodowa ograniczała się dla tego na naród, z którego wyszła, i nie wpłynęła na ludzkość, bo i owszem cała jej wartość na tem zależy, żeby się na co przydała ludzkości*).“

Ustęp ten choć przydługi streszcza, jak widzieliśmy, najważniejsze motywa, na których się oparł Libelt w uznaniu filozofji narodową. Nie można go więc było w zupełności nie przytoczyć. Chodzi teraz tylko o to, jakiem jest według Libelta to pierwiastkowe usposobienie naszego narodu, jakim jest ten pierwiastek, na którym on opiera narodową filozofję polską. „Dość spojrzeć nam uczonym w siebie, cośmy zarody tego narodowego pierwiastka zaczerpnęli w młodziuchnych latach niewinności naszej od piastunek, służebnych i współkolegów, bliżej ludu stojących — powiada Libelt — dość choć krótkiego pobytu wśród ludu, aby się i o tej prawdzie przekonać, którą także Mickiewicz w drugoletnim kursie rozwijał, że głównym dogmatem, na którym polega narodowość polska w szczególności, a w ogólności narodowość słowiańska, jest „wiara w ciągłe działanie świata niewidomego na widomy 1).“

„Lud nasz przechowuje u siebie wiarę w bezpośredni stosunek świata ziemskiego ze światem duchów, które go jako opiekuńcze istoty otaczają. I kto tę wiarę wyssał z mlekiem, temu żadna mądrość świata jej z serca nie wytrąci 2).“

„Po wypowiedzeniu tych pojęć przez Libelta (w r. 1844), powstała — jak wspomniałem — niezgoda między zwolennikami narodowości w filozofji. Chociaż Trentowski miał do zawdzięczenia Libeltowi, że z Mickiewiczem polemizował o niego (Mickiewicz zarzucał filozofji Trentowskiego wynarodowione stanowisko), że bronił jego „Myślinii“ jako „logiki narodowej“, wszelako gdy Libelt narodowość tę oparł na pierwiastku ludowym, Trentowski wystąpił przeciwko niemu. Sam bowiem usiłował oprzeć filozofję „narodową“ na świecie „boskim,“ odpowiednio do trzech idei które rozróżniał: empirycznej, metafizycznej i transcendentalnej, odpowiadających trzem światom: naturalnemu, duchowemu i boskiemu, z których gdy dwa pierwsze stały się romańskiej i germańskiej narodowości udziałem, ostatni, świat boski, na idei transcendentalnej oparty, miał koniecznie, jak mniemał Trentowski, być udziałem Słowian, a bliżej nas Polaków. Na nim więc, a bliżej na idei transcendentalnej, albo na „myśle“ ze względu na władze poznania 3) chcąc oprzeć filozofję narodową, podniósł polemikę z Libeltem. „Lud jako lud, — mówi tedy — jako świeży pierwiastek narodu, jako dziki, jawi się wszędzie niedojrzały, dziecięcy, a jako taki jest wszędzie też jednakowy, nie przedstawia nigdzie różnicy. Jądro jego jest przesiąkłe mistyką, teurgiją, magiją, słowem demonologją wszędzie jednaką. Przekonać się o tem można z bajek i klechd, które tak u ludu francuskiego, niemieckiego i polskiego, jak indyjskiego są też same... Bajki te mają w ogóle treść demonologiczną i odnoszą się do świata duchów. Niemiecki Kerning chciał wydobyć rodzinną filozofję z niemieckiego ludu i doszedł do Demonomanji, o której wydałem osobne polskie dziełko. Emerson szukał mądrości rodzinnej u ludu amerykańskiego, i skończył także na demonomanji. Towiański i Mickiewicz kusząc się o mądrość polsko-ludową, ogłaszają dziwy o świecie duchów czyli demonomanję. — Ztąd wynika, iż od żadnego ludu nie można się uczyć filozofji. Od niego nauczysz się magji, teurgii, która słynęła już w starożytności, jako nałożycie wyrobiona tajemnicza umiejętność... Zaciekając się w istotę ludu napiszesz antropologję, psychologję lub mitologję empiryczną a posteriori i bez pośrednio z ludu polskiego zdjętą, ale nie napiszesz filozofji narodowej4)“. Tę samą opinję podzielali i inni 5), choć byli i tacy co się zgadzali z Libeltem 6).

---

*) Kremer: „Listy z Krakowa.“ T. I. str. 240—244. Kraków 1843.

*) Libelt: Charakterystyka filozofji słowiańskiej „Rok“ 1844, zesz. X. str. 1 i nast., albo Filozofja i Krytyka. Poznań 1845, str. 95—98; w wyd. 2 z r. 1874 str. 80—82.

1) Zobacz wyżej str. 8 i 12—13 cośmy mówili o wpływie poezji i literatury romantycznej na filozofję.

2) Libelt: „Filozofja i krytyka“ r. 1845 str. 102, z r. 1874 str. 85.

3) Aby czytelnikowi nieobeznanemu z terminologją Trentowskiego zrozumiałą rzecz uczynić, dodam że „mysłem“ nazywał on najwyższą władzę intelektualną w człowieku, jakby rozum w najwyższej potędze, który jednak według niego tylko Bóg w zupełności posiada, a człowiek tylko w ograniczonej mierze.

4) Trentowski: „Czy można uczyć się filozofji narodowej od ludu, i jakie cechy mieć powinna ta filozofja“ w „Roku“ 1845, III. str. 21—35.

5) Np. krytyk filozofji Libelta — zob „Rok“ 1845, zeszyt V. str. 32, 35.

6) Np. autor rozprawy „O górach tatrzańskich“ „Rok“ 1844, zesz. IX.

Ostatnią i najważniejszą odpowiedzią naszego autora jest, mojem zdaniem, cały jego „System Umnictwa“ O tem przy rozważeniu „stanowiska“ filozofji Libelta jeszcze powiemy. Tymczasem na zdanie Trentowskiego: że wyobrażenia ludowe są wszędzie te same, a zatem z nich różnica pierwiastków filozoficznych wypłynąć nie może — odpowiada Libelt w ten sposób, że na podstawie różnicy plemienności ludów każden musi przypuścić i różne narodowości, a więc i wyrobom duch przyznać różne piętna narodowe, stanowiące podstawę dla narodowego pierwiastku. Kto utrzymuje, że wyobrażenia ludowe są wszędzie te same, mówi Libet, ten znosi między ludźmi narodowości, wyłącza nieumiejętne massy ludu stanowiące naród, gdy tylko w tych massach widzimy rzeczywiste, plemienne, narodowe ich różnice, której nie ma w cząstce oświeconej kraju, bo tu już niejaka amalgamacja narodowości „Narodowość leży naprzód w plemienności, a potem dopiero w oświacie. Narodowość plemienna w ludzie jest więc żywsza, płodniejsza, wyrazistsza, niżeli w oświeconych klasach; z czego wypada, że i w pojęciach i wyobrażeniach jego, musi być wyraziste, żywe i płodne tejże narodowości znamię. A gdy tak jest, muszą znajdować się „w ludzie pierwiastki narodowe“ wszystkich form pochodnych, a tem samem i narodowej filozofji*).“

Oto ostatnia odpowiedź po latach trzynastu. Pozostaje mi więc wyłożyć teraz, jak pojął bliżej Libelt tę filozofję narodową.

Dostatecznie wyjaśnią tę rzecz następujące znamiona, podane przezeń dla filozofji słowiańskiej, a bliżej polskiej: 1. Pierwiastek jej musi położyć związek dwóch światów: widomego i niewidomego za zasadę; 2. musi odrzucić samowładztwo rozumi i na równi z niem położyć wewnętrzne bezpośrednie pochwycenie prawdy, mocą bezpośredniego związku z duchem wiekuistym; 3. musi duchowym pojęciom dać wyobrażalność, tj. pojmować ducha jako osobę; 4. istotą ducha musi być żywot, czyn, rzeczywistość; 5. wszelki dualizm jako taki zniesiony — złe ustępuje przed dobrem, ciemność przed światłem. Natura schołdowana i uszlachetniona przez ducha ludzkiego; 6. wszelkie dobro materjalne pochodzi od Boga, nie od ludzi i w tem leży uszlachetnienie materji; 7. braterstwo wszystkich członków narodu polega na jedności myśli boskiej, którą naród jako osobna narodowość reprezentuje; 8. myśl Boża wciela się w cały naród i przychodzi w nim do wiedzy swego posłannictwa; on przeto jest najwyższą władzą, którą przelewa na jednostki wolą swoją. Jednostki takie są czynnikami woli bożej, a władza ich nie może mieć innego charakteru nad wykonawczość myśli bożej czyli posłannictwa narodowego**). Przez to ostatnie zaś rozumie Libelt spełnienie wielkich idej czasu, do którego z kolei powołane są narody***), a ideę taką u Słowian i Polaków zobaczymy w dalszym ciągu jak pojmuje i na czem ją opiera.

(C. d. n.)

---

*) Libelt: „System Umnictwa“ Poznań 1857. T. I., str. 363.

**) Libelt: Charakterystyka filozofji słowiańskiej „Rok“ 1844 X. 9—11, albo Filozofja i Krytyka 1845, str. 105—106, w wyd. 1874 r. str. 87—88.

***) Zobacz rozprawę O posłannictwie dziejowem narodów w Pismach Pomniejszych T. II. str. 362.

OPRYSZEK.

Obrazek z życia Pokuckich Górali

przez

MARJĘ B.

(Ciąg dalszy.)

Wasyl odszedł. On usiadł w milczeniu,
Dłoń mu palił żar własnego czoła —
I w niebieskiem patrzył upojeniu
W smętne, blade oblicze Anioła.
Pogrążony w bolesnym zachwycie
Czas w pospiesznym pragnął wstrzymać locie
By tak całe, całe swoje życie
Przy tej czystej przemarzyć istocie!
W dzikiej duszy dziecięcia natury
Rozżalonej, skalanej, samotnej,
Krwawe, długo ciężące tam chmury
Jakiś promień rozprószył przelotny...
Jak w pustyni wędrowiec znużony,
U zielonej spoczynku oazy,
Marzył błogo i płakał wzruszony
Na natchnione jej piosnek wyrazy!
Bo te piosnki poraz pierwszy w życiu
Powróciły mu szczęście niewinne,
Powróciły marzenia dziecinne
Utracone w straszliwem rozbiciu!
A jak później błąkał się pod dworem,
I pod olchą usiadł tam starą,
Aby słuchać tych piosnek wieczorem
By się poić ich blaskiem i wiarą!...
Często także w przydrożnej kaplicy
Którą wzniosła pobożność mieszkańców,
Widział postać tej białej dziewicy
Do niebieskich podobną zesłańców —
Z złożonemi pokornie rączęty
Z pochyloną główką złotowłosą,
Promienistą jak obrazek święty
Jak kwiat lilji uperlony rosą.
Więc ukochał ją biedny sierota,
Obdarzony wyższością duchową —
I gdy odtąd popatrzył w grobową,
Czarną otchłań własnego żywota,
To się miotał jak anioł upadły —
Grożąc niebu tem silniej, boleśniej,
Aż potęga i urok jej pieśni
Słodkim czarem duszę mu owładły!
On tak wsparty o skałę wpółsenny,
W swojej branki wpatrzony oblicze
Ciche — jasne — pogodne — dziewicze —
Nieskończony sen rozsnuł promienny.
Ale gwiazdy na niebie już bladły
Roztopione w przedświcie poranku,
I na niebo, z różowych chmur wianku
Pierwsze drżące brzaski się wykradły,
I całując najwyższych gór czoła,
Gdy doliny jeszcze ślepły mrokiem,
Płomienistą falą je dokoła
Jakby złotym oblały potokiem.
Na to hasło zbudzonej natury,
Po zaroślach uspione cienistych
Rzewne ptasząt ozwały się chóry,
Hymnem modłów porannych, przeczystych
Księżyc w śrebrnem tonący zamgleniu
Na zachodnie żeglował niebiosy,
I już w słońca nieśmiałym promieniu
Drżały krople brylantowej rosy...
Noc skonała...

Milczący, zbolały,
Żegnał Dymitr niknące jej cienie;
Żegnał szczęścia cichego raj cały,
Co przemknęło jak obraz uroczy...
Z łona śpiącej wybiegło westchnienie
I dziewica otworzyła oczy.
Złotych włosów orzucona zwojem
Odrzuciła je z czoła, usiadła,
I spojrzawszy dokoła, pobladła,
Przerażona, drżąca niepokojem.
I wyciągła ręce jakby we śnie
Jakąś marę odpędzając ciemną.
„— O! mój Boże!“ — szepnęła boleśnie,
„— Gdzie ja jestem? co się dzieje ze mną?!“

Dymitr powstał; pierś przycisnął ręką,
I wskazując na braci uspionych,
„— Przebacz... przebacz!“ — zawołał „— panienko —
Jam nie winien dzikości szalonych,
Co cię z łona rodziny porwali!
Powróciłem z dalekiej dziś drogi;
Widzisz we mnie dowódzcę górali,
Lecz zaufać mi możesz bez trwogi...
Krwawe wiodę i występne życie,
Kar najsroższych oddawnam zasłużył,
Alem nigdy siły nie nadużył
Przeciw słabym, i przeciw kobiecie!
Pójdź panienko! w domowe cię progi
Wódz Opryszków zawiedzie bezpiecznie —
Bo dla ciebie on jednej, ach wiecznie
Sługa tylko i wieśniak ubogi!“ —

Ona długo patrzyła zdumiona —
W lica jego drgające cierpieniem
Wreście wstała pełna dziwnej wiary
I podała mu rękę wzruszona,
Pełnem cześci dziękując spojrzeniem,
Choć nie znala wielkości ofiary,

Poszli... Cudnaż to podróż! Nad niemi
Niezgłębione błękitu obszary
Z blaskiem słońca, a tutaj na ziemi
Skał urwiska, przepaście, i jary...
Fantastyczne pokłady kamienne,
I szumiące po górach strumienie,
Ciemnych lasów głębokie milczenie
I śpiew ptasząt, i wonie wiosenne.
Cudna podróż! Biednego młodzieńca
Może szczęścia godzina ostatnia,
Lecz szedł cichy... pokorny jak dziecko, —
Czasem tylko purpura rumieńca
Wyjawiała uczucie zdradzieckie;
Gdy dziewczyna, którą skrzydłem białem
Ta opieka otaczała bratnia,
Spoglądnęła nań okiem nieśmiałem...
Często krzewy rozchylał kolące,
Z pod stóp ostre usuwał kamienie
Albo ręce podawał jej drżące
Przez potoki i bystre strumienie.
Często także na jego oblicze
Jej nieśmiałe padały spojrzenia,
Lecz uczucie trwogi tajemnicze
Nie kazało przerywać milczenia.
Wreście cichym zapytała głosem.
„— Chciej powiedzieć, wspaniały młodzieńcze,
Czem odpłacę i czem ci odwdzięczę
Tak szlachetne zajęcie mym losem?
Chciej przebaczyć, że zapytać muszę,
Jakich srogich przeznaczeń zrządzenie
Porzuciło twoją piękną duszę
W występnego żywota płomienie?“
On uśmiechnął się gorzko — boleśnie —
„— O, panienko! nie pytaj mnie o to...
Nędza pchnęła mnie w życie sierotą,
Ludzie serce zatruli zawcześnie,
Łzy płynęły nie budząc współczucia,
Niebo głuchem zostało na modły...
Więc się w piersi wkradł robak zepsucia
I złe duchy w przyszłość mnie powiodły!“
Zwiesił głowę. —

Na rzęsach dziewczyny
Kryształowa zaświeciła łezka;
Łza litości! ta rosa niebieska
Co omdlone orzeźwia rośliny...
On ją dostrzegł, i pierś mu wezbrała
Takiem szczęściem, — miłością bez granic
Że do nóg jej dusza się zrywała
Aby wyznać całą tajemnicę,
Całą rozpacz, nie zważając na nic!
Ale promień jakiejś aureoli —
Takim blaskiem otaczał dziewicę,
Tak go czynił nieśmiałym i drżącym,
Że ostatek męzkiej przyzwał woli
I pozostał spokojnym — milczącym.

(Dok. n.)

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

Tom II.

ROZDZIAŁ II.

— I owszem, odparł p. Skryptowicz. Powiem ci nowinę. Pan Alfred Zgorzelski, po ośmioletniej przerwie, znowu rozpoczął handel cudzemi wekslami. Czy dałaś mu znowu twój podpis?

— Mój podpis? zawołała p. Zamecka pogardliwie. Nie mam żadnych stosunków z p. Zgorzelskim i gdyby nie upór Tadeusza, nie śmiałby on nawet pokazać się w moim domu!

— Cieszy mię to niezmiernie, ale muszę cię ostrzedz, że p. Alfred nadużywa dobrych stosunków, w jakich zostaje z wami. — Tu p. Skryptowicz odpowiedział pani Helenie szczegółowo wczorajsze swoje odkrycie i podwójne spotkanie z p. Alfredem, podczas gdy ona rozmaitemi wykrzyknikami dawała wyraz swojemu oburzeniu, nie znającemu granic.

— Poradź mi, kochany, drogi Karolu, poradź mi, co począć z tym... łotrem! zawołała, siadając na ławeczce ogrodowej i załamując ręce.

— Jeżeli mam ci dać radę, któraby ci się przydała, muszę przedewszystkiem wiedzieć prawdę. Powiadasz, że nie dawałaś podpisu Zgorzelskiemu?

— Nie, przysięgam ci to na wszystko, co mam najświętszego i najdroższego na świecie!

— Formułka ta jest dla mnie cokolwiek niezrozumiałą, zważywszy, iż nie wiem, co masz, i czy masz co najdroższego i najświętszego, ale mniejsza o to...

— Karolu, twoje żarty są bolesne i przyznasz, że nie stosowne w tej chwili. Miałam cię za człowieka z niezłem w gruncie sercem, a jako od brata, spodziewałam się od ciebie rady i pomocy. Zamiast udzielić mi jej, szydzisz ze mnie! O! ja jestem bardzo nieszczęśliwą!

Gwałtowny wybuch płaczu nie pozwolił p. Helenie mówić dalej. P. Karol, którego łzy kobiece wypędziły z domu do Rymiszowa, uczuł niepowstrzymaną ochotę uciekania napowrót z Rymiszowa do domu, ale przypomniawszy sobie swoją misję, oparł się zwycięzko temu impulsowi.

— Uspokój się, Helenko, rzekł biorąc ją za rękę. Nie chciałem wyrządzić ci przykrości. To, co powiedziałem, powiedziałem w innej myśli. Nie płacz i słuchaj, co ci powiem.

— Mów, kochany bracie, mów i ratuj mię, ratuj! była odpowiedź, przerywana łkaniem.

— Otóż moja droga, chciałem dać ci do zrozumienia, że nie wystarczy przysięgać przedemną, ale że w danym razie, musisz przysiądz w obec sądu, iż nie podpisywałaś weksłu, który chciał sprzedać Zgorzelski. Podpis twój i Tadeusza, jeżeli się znajdzie weksel, będzie następnie badanym przez rzeczoznawców, a skoro się uda przekonać Zgorzelskiego, iż dopuścił się lub miał zamiar dopuścić się oszustwa, i przystąpił już do wykonania tego zamiaru, sąd zrobi swoje...

— Sąd! Ależ na miłość Boga, pomyśl, jaki to będzie skandal! Wolę tysiąc razy zapłacić weksel, niż narazić się na coś podobnego. Czy nie ma już innego sposobu?

— Znajdzie się może, ale na wszelki wypadek, musimy powiedzieć Tadeuszowi, co się stało.

— Tadeuszowi! Nigdy, nigdy! Karolu. Jeżeli masz iskrę ludzkiego uczucia w sobie, nie mów nic Tadeuszowi! Błagam cię o to, zaklinam! — P. Zamecka zrobiła ruch, jak gdyby się chciała rzucić do nóg p. Karolowi, który przypatrywał się jej uważnie i zatrzymywał ją ręką. O ile znał się na wyrazie twarzy, zdawało mu się, iż p. Helena zdjęta była wielką trwogą.

— Zastanów się, Heleno, a przedewszystkiem uważaj, że może kto nadejść. Rozmawiajmy, jak gdybyśmy mówili o rzeczach obojętnych. A więc, mojem zdaniem, nie ma powodu, dla któregoby Tadeusz nie miał dowiedzieć się o wszystkiem, zwłaszcza gdy bardzo łatwo może dowiedzieć się i wbrew naszej woli. Weksel na szczęście jeszcze nie jest sprzedany, ale jeżeli Zgorzelski nie zaniecha swoich usiłowań, bardzo łatwo stać się może, że jaki kapitalista sam uda się do Tadeusza z zapytaniem, czy jego podpis jest prawdziwym. Powiedzże teraz, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy go uprzedzili? Gdyby weksel poszedł już w kurs, i gdybyś go zapłaciła, jak powiadasz, byłoby to dla Zgorzelskiego zachętą do dalszych operacyj tego rodzaju, jak go już i to bez wątpienia zachęciło, iż przed laty udała mu się sztuka. Nawet więc w takim razie dobrze jest dać mu lekcję, chociażby pozasądową, ale bez wiedzy Tadeusza niepodobna będzie to uczynić. Wszak dwadzieściapięć tysięcy, to suma, która nie chodzi piechotą, i wątpię, byś ją posiadała.

— Mam stotysięcy, które mi zapisał Tadeusz.

— Zapewne, ale jest to zapis, który zrobiony jest na wypadek jego śmierci, lub na wypadek rozwodu. W innych warunkach, nie mogłabyś naruszyć tej sumy bez jego zezwolenia, a gdybyś dzisiaj chciała odprzedać część tej eksspektatywy, po latach, za dwadzieściapięć tysięcy, zapłaciłabyś pięćdziesiąt, to znaczy, połowę twego majątku. Otóż nie wiemy, czy nawet w późnej starości, wystarczy ci na utrzymanie procent od pięćdziesięciutysięcy, gdy dziś najmniej dziesięć razy tyle możesz wydawać na twoją osobę.

— Tadeusz kocha mię bardzo, i nie ma innych spadkobierców...

— Nie wiesz, czy ich nie ma. Dotychczas, o ile wiem, nie zrobił testamentu, ale gdyby go zrobił, sądzę...

— Co sądzisz? Czy może ta wychowanka?

— Tak, sądzę, że nasza wychowanka, odparł p. Karol sucho, podczas gdy p. Tadeuszowa zacisnęła usta i pochyliła głowę w zamyśleniu. Nastała chwila niemiłego i dla obydwu stron kłopotliwego milczenia, które przerwał p. Skryptowicz, zapytując stanowczo:

— Więc nie chcesz pod żadnym warunkiem, ażebym opowiedział Tadeuszowi sprawkę Zgorzelskiego?

— Wolę oddać wszystko, co mam, lub co kiedyś mieć mogę. Czy dasz mi słowo, że mu nie wspomnisz o niczem, i że go nawet nie naprowadzisz na ślad tego wypadku.

— Dam, jeżeli mi powiesz, dla czego żądasz tej tajemnicy.

— Dlaczego? Bo... bo Zgorzelski jest łotrem przewrotnym, który gotów jest zmyślić nie stworzone rzeczy dla swojej obrony. Jestem pewną, że zechce utrzymywać, iż dałam mu ten podpis nieszczęśliwy, i że nie cofnie się przed żadnem oszczerstwem.

— Nie będzie miał do czynienia z ludźmi łatwowiernymi, i potrafimy mu udowodnić, iż jest oszustem i oszczercą, jeżeli nie zdoła udowodnić niczem swoich twierdzeń. Fałszywy podpis łatwo da się odróżnić od prawdziwego, a co do oszczerstw, to jeżeli sobie nie masz nic do zarzucenia...

— Nic, nic! Ale... boję się Zgorzelskiego, on gotów do wszystkiego i potrafi... potrafi przedstawić wszystko tak, że mu uwierzą...

— Teraz wiem już, co chciałem wiedzieć,— rzekł p. Karol, wstając z ławeczki. — Wracajmy do zamku.

— Co wiesz, co chciałeś wiedzieć? — Zawołała p. Zamecka, zaniepokojona.

— To, że Zgorzelski jest o połowę mniejszym oszustem i oszczercą, niż przypuszczałem. Jesteś złą, niegodziwą kobietą, ale przejrzałem cię na wskróś, i postąpię, jak to uznam za stosowne w tym wypadku. Nie załamuj rąk i nie płacz, bo oto idzie Tadeusz z hr. Rozumowskim.

— Więc powiesz Tadeuszowi?

Zapytanie to było wypowiedziane z pozornym spokojem a iskrzącym wzrokiem tygrysicy, gotującej się do skoku na upatrzoną ofiarę. P. Karol w odpowiedzi podał p. Zameckiej ramię w sposób nader uprzejmy.

— Chodźmy naprzeciw tych panów. — rzekł. — Nie, nie powiem nic Tadeuszowi, — dodał, patrząc z boku na Helenę. Powiem mu zupełnie co innego.

— Czy można wiedzieć, co mu powiesz?

— Powiem mu, że ponieważ nie ma krewnych ani bliższych, ani dalszych w tym stopniu, który uprawnia do spadku, powinien zrobić testament, ażeby po jego śmierci całego majątku nie zabrała niegodna żona, jak to przepisuje kodeks prawa cywilnego w takim razie. Szkoda Rymiszowa dla p. Zgorzelskiego, a może i dla jakiej przyszłej pani Zgorzelskiej.

— *Madame j'ai l'honneur de vous présenter mes respects* — zawołał oddalony już tylko o kilka kroków hr. Rozumowski, z eleganckim ukłonem. P. Zamecka podała mu rękę z ujmującym uśmiechem, uwalniając swoje ramię od podpory, jakiej mu użyczał p. Karol. Pan hrabia rozpoczął z panią domu rozmowę o pięknościach jej zamku i ogrodu, o potrzebie odwiedzenia wód zagranicznych i o innych przedmiotach tego rodzaju. Pani Zamecka była bardzo ożywioną, i czarującą dowcipem i wesołością. Szli oboje przodem, p. Tadeusz z p. Karolem postępowali o parę kroków za nimi.

— Jakże wypadła wasza konferencja? — zapytał p. Zamecki półgłosem.

— Doskonale. Porozumieliśmy się zupełnie.

— Więc zgadza się, by Helenka przyjechała tutaj?

— Podejmujemy się nawet wyswatać ją, za kogo zechcemy.

— I nie domyśla się niczego?

— Nie. Chociaż, gdy ją zobaczy, niepodobieństwem jest prawie, ażeby się nie domyśliła. Chacha, ci co piszą o dziedziczności charakterów, mieliby tu nielada zagadkę do rozwiązania. Nie było jeszcze większego podobieństwa rysów i figury między matką i córką, a mniejszego podobieństwa w usposobieniu między rodzicami a dzieckiem.

Wizyta p. hrabiego przeciągnęła się do wieczora, a pobyt p. Karola do drugiego dnia. Odbyło się posiedzenie klubu, podczas którego pan Skryptowicz usiłował nawiązać dobre stosunki z Wacławem, ale nie zdołał wykrzesać z niego nic, oprócz zimnej grzeczności. Raz tylko, gdy

mu powiedział, że jego elewki bardzo były zasmucone jego odjazdem, i że kazały go pozdrowić, p. Wacław zarumienił się mocno i stracił kontenans, ale wnet zabrała go pani Zamecka, ażeby jej towarzyszył w przejażdżce konnej. Wycieczka ta była dłuższą niż zwykle, oddalono się prawie o pięć ćwierci mili od Rymiszowa. Pani Zamecka zatrzymała jakiegoś wieśniaka, wracającego z pola, i zapytała go, jak się nazywa wieś, którą widać było w niejakim oddaleniu. Kruchówka, brzmiała odpowiedź. — A dziedzic Kruchówki, czy jest w domu? — Nie, nie ma go jeszcze, ale jutro mają konie pójść po niego na stację. Po tej rozmowie, zawrócono wierzchowce, i za pół godziny wrócono do Rymiszowa.

Nazajutrz, p. Tadeusz z p. Karolem ruszyli do miasta. Pierwszy z nich był w doskonałym humorze i opowiadał, jak Helena mocno zadowoloną jest z nowej towarzyszki, którą jej obiecano. Wandzia dobra bardzo dziewczyna, ale doprawdy trochę nudna z tą swoją melancholją, wierszami i westchnieniami. P. Karol słuchał tego opowiadania w milczeniu i bardzo mało dopomagał do rozweselenia p. Tadeusza, składając winę kwaśnego swojego usposobienia na nieznośny ból głowy. Przed stacją spostrzeżono z daleka nejtyczankę p. Alfreda, który ukłonił się swoim znajomym, kilka razy wywijając kapeluszem, i otrzymał w zamian ukłon od pana Zameckiego, podczas gdy pan Karol odwrócił się w przeciwną stronę. Za chwilę podróżni siedzieli w wagonie i dążyli do miasta pędem pary, podczas gdy my zatrzymamy się jeszcze czas jakiś w Rymiszowie. Dopuścimy się nawet tej niedyskrecji, że zaglądniemy do komnat zamkowych, zajmowanych przez panią Zamecką.

Komnat tych było trzy, i jedna z nich zawierająca szafki z książkami, sekretarzyk, przepyszne kobierce, meble i obrazy, nazywała się „biblioteką" a w istocie, była w dosłownem znaczeniu „budoarem," to jest, pani Helena zamykała się tam, gdy ją od czasu do czasu dręczyły migrena lub splin. P. Tadeusz, który sam posiadał podobne sanctissimum, poświęcone złemu humorowi, nigdy nie wchodził do tego pokoju, twierdząc, że każdy, kogo stać na to, powinien mieć taki kącik do wydąsania się w danym razie, i że żadna obca stopa, oprócz stopy frotera lub pokojówki z trzepaczką do prochu, nawet w nieobecności właściciela nie powinna przekraczać progów takiej świątyni. Powieść ma wszelako swoje przywileje, i z tych przywilejów skorzystamy. (C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział XVIII.

(Ciąg dalszy).

(Pencroff nie wątpi więcej o niczem. — Dawny kanał odpływowy. — Wyprawa w głąb ziemi. — Kurytarz w wnętrzach granitu. — Top znika. — Środkowa pieczara. — Studnia podziemna. — Nowa zagadka. — Przewiercenie ściany granitowej. — Powrót.)

Projekt Cyrusa Smitha powiódł się zupełnie, lecz sam twórca jego wedle zwyczaju swego nie okazywał najmniejszego zadowolenia i z ustami zaciśniętemi, z wzrokiem bystro wytężonym stał nieruchomy. Harbert był w uniesieniu; Nab skakał z radości; Pencroff to w jedną to w drugą stronę kiwał swą dużą głową i mruczał pod nosem.

— Chwat z naszego inżyniera!

Nitro-glyceryna sprawiła w istocie skutek potężny. Nowo utworzona szluza była tak wielką, że ilość wody odpływającej obecnie przez nią, trzykroć przewyższała tę, która odpływała przez dawny upust. Z tego wynikało, że poziom jeziora musiał wkrótce obniżyć się najmniej na dwie stopy.

Osadnicy nasi pospieszyli do „dymników" po kilofy, oszczepy w żelazo okute, postronki z łyka, krzesiwo i czyr, poczem powrócili znów na terasę. Towarzyszył im Top.

Po drodze marynarz, nie mógł się wstrzymać dłużej, odezwał się do inżyniera.

— A wiesz pan, panie Cyrus, że tą prześliczną miksturą, którą pan sfabrykowałeś, możnaby całą tę wyspę wysadzić w powietrze?

— Bezwątpienia, odparł Cyrus Smith, wyspę i wszystkie lądy i nawet całą ziemię; zawisło tylko od ilości.

— A nie możnaby też użyć tej nitro-glyceryny do nabijania broni palnej? zagadnął marynarz.

— Nie, Pencroffie, jest to substancja zbyt gwałtowna. Moglibyśmy jednak z łatwością wytworzyć bawełnę strzelniczą a nawet proch, posiadając kwas azotowy, saletrę, siarkę i węgiel. Lecz niestety nie posiadamy broni — w tem sęk.

— O, panie Cyrus! odparł marynarz, troszkę dobrej woli!...

Nie podlegało wątpliwości, że marynarz wykreślił całkiem słowo „niemożliwość" ze słownika używanego na wyspie Lincolna.

Przybywszy na Wielkę Terasę, osadnicy nasi skierowali swe kroki niezwłocznie ku owej kończynie jeziora, przy której istniał otwór dawnego upustu, otwór ten powinien się był obecnie znajdować ponad wodą. Ponieważ woda nie zaciekała już tam więcej, przeto możnaby było zapewne wejść do środka kanału odpływowego i zbadać wewnętrzną jego konstrukcję.

Po kilku minutach osadnicy dotarli do dolnego końca jeziora i jeden rzut oka przekonał ich, że cel został dopięty.

W istocie ukazał się im w granitowym brzegu jeziora, odkryty z pod wody otwór tak gorąco poszukiwany. Wąski szkarp, który odsłoniła opadająca woda, ułatwiał doń przystęp. Otwór ten posiadał około dwadzieścia stóp szerokości, lecz zato tylko dwie stopy wysokości. Podobnym był do otworu rynsztoków umieszczonych wzdłuż chodników. Nie łatwo by więc było wcisnąć się do niego. Ale Nab z Pencroffem chwycili za kilofy i w niespełna godzinę rozszerzyli go do należytych rozmiarów.

Wtedy inżynier zbliżywszy się do otworu przekonał się, że pochyłość stoków tego kanału odpływowego w górnej jego części nie wynosiła więcej jak trzydzieści do trzydziestu pięciu stopni. Można było zatem stąpać po nich i byle pochyłość w dalszym ciągu nie wzrastała, dotrzeć tym kanałem aż do samego poziomu morza. Jeśli zaś, co było wielce prawdopodobnem, wewnątrz tej masy granitowej istniała obszerniejsza pieczara, może by się dało nawet zrobić z niej jaki użytek.

— A zatem, panie Cyrus, nic nam nie przeszkadza! odezwał się marynarz, który rad był co rychlej zapuścić się w tajemnicze głębie tego podziemnego korytarza. Wszak Top nas wyprzedził!

— Dobrze, odparł inżynier. Lecz nie podobna nam iść po omacku. — Nab, pobiegnij wyciąć kilka żywicznych gałęzi.

Nab z Harbertem pobiegli pędem w stronę, gdzie sosny i inne drzewa zielone ocieniały brzegi jeziora, i powrócili w krótce z gałęziami powiązanemi w kształcie pochodni. Zapalono więc te pochodnie za pomocą krzesiwa i osadnicy nasi z Cyrusem na czele zapuścili się w te ciemne czeluście, które niedawno jeszcze napełniała woda.

Wbrew wszelkim przypuszczeniom średnica podziemnego kanału rozszerzała się coraz bardziej, tak, że osadnicy nasi odrazu prawie mogli się wyprostować, zstępując na dół. Stok granitowy od wieków podmywany wodą był bardzo śliski i trzeba było strzedz się pilnie, by nie upaść. To też osadnicy nasi poprzywiązywali się wzajemnie postronkami jeden do drugiego, tak, jak to czynią podróżni w górach. Na szczęście powyżłabiane w granicie szkarpy tworzyły rodzaj schodów umniejszających niebezpieczeństwo spuszczania się. Kropelki wody, zawieszone jeszcze na skałach, połyskiwały tysiącem barw przy blaskach pochodni, zdawało się, że ściany pokryte są nieprzeliczoną ilością stalaktytów. Inżynier przypatrzył się bacznie szczerniałemu granitowi. Nie było na nim śladu nawarstwowania, ani żadnego obrywu. Była to jednolita, jakby z jednej sztuki wykuta masa. To świadczyło, że kanał ten istniał od samego początku wyspy. To nie działanie wody wydrążyło go zwolna i stopniowo. Nie Neptun, lecz Pluton własną wykuł go dłonią i można było widzieć na ścianach ślady jego podziemnej roboty, dotąd jeszcze nie całkiem zatarte, pomimo tyloletniego działania wody.

Osadnicy nasi zstępowali bardzo zwolna. Trudno zaprzeczyć, że doznawali wszyscy pewnego wruszenia, zapuszczając się w te tajemnicze głębie, w których nigdy jeszcze noga ludzka nie postała. Milczeli i rozmyślali, i niejednemu z nich przyszło na myśl, czyli jaki potwór z rodzaju „głowonogów" nie zamieszkuje wnętrza tej pieczary zostającej w połączeniu z morzem. Należało więc postępować naprzód z pewną ostrożnością.

Zresztą Top biegł na czele tego małego orszaku i można się było spuścić na węch psa, który w razie jakiego niebezpieczeństwa niezawodnie uderzyłby na alarm.

Zeszedłszy w dół około sto stóp dość krętym kurytarzem, Cyrus Smith, który szedł naprzód, zatrzymał się, a towarzysze jego złączyli się z nim. Miejsce, w którem się zatrzymali, tworzyło rodzaj pieczary średnich rozmiarów. Krople wody spadały ze sklepienia, nie pochodziło to jednak ztąd, iżby woda z zewnątrz na wskróś przeciekała granit. Były to poprostu ostatnie ślady potoku, który tak długo grzmiał wśród tej pieczary, a powietrze, z lekka wilgotne, nie zdradzało zresztą żadnych wyziewów mefitycznych.

— Cóż tedy, kochany Cyrusie? — odezwał się Gedeon Spilett. Oto mamy schronienie nikomu nieznane i ukryte głęboko, a jednak wziąwszy wszystkie razem, mieszkać w niem niepodobna.

— Dlaczego niepodobna? — zapytał marynarz.

— Bo jest za małe i za ciemne.

— Alboż nie możemy go rozszerzyć, powiększyć, wydrążyć, porobić w niem otwory, któremiby wchodziło powietrze i słońce? — odparł

Pencroff, który teraz nie wątpił więcej o niczem.

— Idźmy dalej, odezwał się Cyrus Smith. A może niżej sama przyroda oszczędzi nam tej pracy.

— Znajdujemy się dopiero w jednej trzeciej części wysokości — zauważył Harbert.

— Mniej więcej w jednej trzeciej — odparł Cyrus Smith — spuściliśmy się bowiem z jakie sto stóp od otworu, łatwo zatem być może, że sto stóp poniżej...

— Gdzie Top? — zapytał Nab przerywając swojemu panu.

Przeszukano pieczarę. Psa nie było.

— Zapewne pobiegł naprzód — rzekł Pencroff.

— Spieszmy za nim — odparł Cyrus Smith.

Puścili się więc dalej w głąb. Inżynier przypatrywał się uważnie wszystkim odnogom. kanału, i pomimo tylu rozmaitych zakrętów zapamiętał z łatwością ogólny jego kierunek zmierzający ku morzu.

Spuściwszy się jeszcze z jakie pięćdziesiąt stóp głębiej w kierunku pionowym, doleciały osadników naszych jakieś głosy oddalone, pochodzące z głębi. Zatrzymali się więc wytężając słuch. Głosy te wychodząc z kurytarza niby z tuby akustycznej zalatywały wyraźnie do ich uszu.

— To szczekanie Topa! — zawołał Harbert.

— W samej rzeczy — odparł Pencroff — i to zaciekle szczeka nasz chwacki pies!

— Mamy przy sobie oszczepy — rzekł Cyrus Smith. — Baczność więc, i dalej naprzód!

— To coraz bardziej zajmujące zdarzenie, szepnął Gedeon Spilett do ucha marynarzowi, który kiwnął potakująco głową.

Cyrus Smith z towarzyszami swoimi rzucili się więc na pomoc psu. Szczekanie Topa stawało się coraz wyraźniejszem. W ucinanym jego głosie znać było jakąś niezwyczajną wściekłość. Może borykał się z jakim zwierzem, którego wypłoszył z kryjówki? Niepohamowana ciekawość opanowała osadników naszych, tak że zapomnieli zupełnie o niebezpieczeństwie, na jakie się narażali. Już nie chodzili, lecz formalnie ześlizgiwali się po stokach kanału i w kilka minut później, sześćdziesiąt stóp niżej dotarli do miejsca, gdzie znajdował się Top.

Tu kurytarz rozszerzał się nagle i tworzył obszerną, wspaniałą pieczarę. Po niej wzdłuż i wszerz biegał Top, szczekając zajadle. Pencroff i Nab, skłoniwszy w dół pochodnie oblali chropowate ściany granitowe szerokiemi strugami światła, a podczas tego Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Harbert z najeżonemi oszczepami stali w pogotowiu na wszelki wypadek.

Olbrzymia ta pieczara była jednak całkiem pustą. Osadnicy przeszukali ją jak najstaranniej wzdłuż i wszerz. Nie było w niej nic, ani zwierza żadnego, ani żadnej żywej istoty! A jednak Top nie przestawał szczekać i ani prośby ani groźby nie zdołały go uciszyć.

— Musi tu być gdzieś szczelina lub otwór, przez który woda odpływała do morza — rzekł inżynier.

— W samej rzeczy — odparł Pencroff — strzeżmy się, by który z nas nie wpadł do niego.

— Poszukaj, Top, poszukaj! — zawołał Cyrus Smith.

Pies zachęcony temi słowami swego pana pobiegł na sam koniec pieczary i tu począł szczekać z podwójną zapalczywością.

Pospieszywszy za nim, ujrzeli w tem miejscu przy świetle pochodni otwór formalnej studni wydrążonej w granicie: Oczywiście tędy odpływała woda do morza, lecz nie był to już kurytarz skośny, po którym możnaby stąpać, lecz prostopadła studnia, w którą zapuszczać się było niepodobieństwem.

Nachylono pochodnie nad otworem, lecz nie można było niczego dostrzedz. Cyrus Smith odłamał palącą się gałązkę i rzucił ją w tę przepaść. Żywica, w skutek chyżości swego lotu jaśniejszym jeszcze buchnęła płomieniem i oświeciła wnętrze studni, mimo to nie było jeszcze nic widać. Wreszcie zagasł płomień z lekkim sykiem, co świadczyło, że gałęź wpadła do wody t. j. że dosięgła poziomu morza.

Inżynier obliczywszy czas jej spadania, oznaczył w przybliżeniu głębokość studni na dziewięćdziesiąt stóp.

Z tego wynikało, że jaskinia, w której się znajdowali, położoną była dziewięćdziesiąt stóp po nad poziomem morza.

— Oto nasze mieszkanie, rzekł Cyrus Smith.

— Lecz zamieszkiwało je przedtem jakieś stworzenie, odparł Gedeon Spilet, którego ciekawość nie była jeszcze zaspokojoną.

— Jakiebądź to było stworzenie, odparł inżynier, dość że umknęło tym otworem i ustąpiło nam miejsca.

— Bądź co bądź, dodał marynarz, chciałbym był przed kwandransem siedzieć w skórze Topa, boć wreszcie bez przyczyny pewnie nie szczekał!

Cyrus Smith spoglądał na psa i gdyby w tej chwili który z towarzyszy jego stał był bliżej niego, byłby usłyszał, jak mruknął pod nosem te słowa:

— Wierzę, że Top nie jedną rzecz lepiej wie od nas!

Życzenia osadników zostały zatem w znacznej części spełnione. Szczęśliwy traf wespół z cudownym sprytem ich naczelnika oddał im ważną przysługę. Oto znajdowali się teraz w posiadaniu obszernej jaskini, której wszystkich właściwości przy słabem świetle pochodni nie byli jeszcze w stanie ocenić, lecz zapewne nie trudno byłoby podzielić ją na izby za pomocą przegródek z cegieł, i przysposobić ją jeśli już nie na porządny dom, to przynajmniej na obszerne mieszkanie. Woda opuściła ją i nie mogła więcej powrócić. Miejsce to zatem było wolne.

Pozostawały tylko do usunięcia dwie trudności; pierwszą z nich stanowiło oświetlenie tej pieczary wydrążonej wśród jednolitej masy granitowej, drugą zaś ułatwienie do niej przystępu. Co się tyczy oświetlenia, nie podobna było wpuścić go z góry, gdyż sklepienie granitu było w tem miejscu niesłychanej grubości, natomiast dałoby się może przewiercić przednią ścianę wychodzącą na morze. Cyrus Smith który obliczył w przybliżeniu pochyłość a zatem i długość kanału, posiadał ugruntowane przeświadczenie, że przednia część granitowej ściany nie musiała być zbyt grubą. Z kwestją oświetlenia rozwiązaną była by tym sposobem także kwestja ułatwienia przystępu do jaskini, przewierciwszy bowiem okna, równie łatwo dałyby się także przewiercić drzwi i urządzić do nich z zewnątrz drabinę.

Cyrus Smith udzielił tych swoich pomysłów towarzyszom.

— A zatem, mości Cyrus, do dzieła! zawołał Pencroff. Ja moim kilofem potrafię przedziurawić ten granit. Gdzie trza szturmować?

— Tu, odparł inżynier, wskazując dzielnemu marynarzowi dość znaczną wklęsłość w granicie, która musiała zapewne zmniejszać jeszcze jego grubość.

Pencroff przypuścił atak do skały i przez pół godziny pracował przy świetle pochodni tak, że trzaski granitu dokoła leciały. Skała pod ciosami kilofa sypała skry. Na przemian z nim pracował także Nab a po Nabie Gedeon Spilett.

Robota ta trwała już dwie godziny, i to poczęło już wzbudzać w nich obawę, czyli grubość skały w tem miejscu nie przewyższa długości kilofa. Gdy wtem za ostatnim razem wymierzonym przez Gedeona Spiletta, narzędzie przewierciło na wskróś ścianę i przeleciało na drugi jej bok.

— Hurra! i jeszcze raz hurra! zawołał Pencroff.

Grubość muru wynosiła w tem miejscu tylko trzy stopy.

Cyrus Smith przytknął oko do otworu położonego dziewięćdziesiąt stóp ponad ziemią. Przed nim rozpościerały się krawędzie wybrzeża, wysepka a dalej za nią nieskończony ocean.

Lecz przez ten otwór dość szeroki, skała bowiem rozpłatała się wcale znacznie, wpłynęła struga światła i oblewając tę wspaniałą pieczarę stworzyła widok czarodziejski! Podczas gdy lewa jej strona nie posiadała więcej jak trzydzieści stóp wysokości i szerokości przy stu długości, natomiast prawa jej strona była rozmiarów olbrzymich a sklepienie jej wznosiło się dziewięćdziesiąt stóp wysoko. Tu i ówdzie porozstawiane filary podtrzymywały zagięcia sklepień niby w nawie katedralnej. Sklepienie to sparte na oporach, tu zniżając się kabłąkiem, ówdzie strzelając w górę gałęziami arkad, to znów gubiąc się w ciemnych krużgankach których fantastyczne łuki majaczyły w cieniu, ozdobione licznemi gzymsami tworzącemi tyleż wiszących ornamentów, sklepienie to stanowiło dziwnie malowniczą mięszaninę wszystkiego, co architektura byzantyńska, romańska i gotycka wytworzyła pod zaklęciem ręki ludzkiej! A jednak tu znać było tylko dłoń samej natury! Ona to wykuła w tych granitowych masach tę czarodziejską Alhambrę!

Osadnicy nasi osłupieli z zachwytu. Tam gdzie spodziewali się znaleźć wąską ciasną czeluść, znaleźli pałac czarowny, a Nab odkrył głowę, jakgdyby ujrzał się nagle w świątyni!

Okrzyki podziwienia wydarły się z ust wszystkich. Kilkakrotne hurra zagrzmiało i rozprysłszy się w echach skonało aż w głębi ponurej nawy.

— Przyjaciele moi! zawołał Cyrus Smith, oświetliwszy dostatecznie wnętrze tego gmachu, podzieliwszy jedną część jego na izby mieszkalne magazyny i spichrze, pozostanie nam jeszcze ta wspaniała grota, którą przeznaczymy na salę naukową i muzeum.

— A jakżeż ją nazwiemy? zapytał Harbert.

— Nazwiemy ją Pałacem Granitowym (*Granit-house*), odparł Cyrus Smith, a towarzysze jego powitali tę nazwę nowemi okrzykami tryumfu.

Pochodnie w tej chwili dopalały się, a ponieważ, ażeby się dostać na szczyt terasy, trzeba było przechodzić z powrotem przez kanał, postanowili więc odłożyć na następny dzień pracę około urządzenia nowego mieszkania.

*

Na odchodnem pochylił się Cyrus Smith raz jeszcze nad otworem ciemnej studni, które sięgała prostopadle aż do poziomu morza. Przysłuchiwał się z wielką uwagą. Nie słyszał jednak żadnego szelestu, nawet szmeru fal które wzburzone morze musiało rozkołysać czasem w tych głębinach. Wrzucił jeszcze jedną palącą się gałązkę. Ściany studni oświeciły się na chwilę, ale nie więcej jak za pierwszym razem nie dostrzegł w niej nic podejrzanego. Jeśli jaki potwór morski został tu znienacka zaskoczonym przez odpływ wody, musiał już zapewne schronić się do morza podziemnym kanałem ciągnącym się po pod wybrzeżem, którym odpływała woda z jeziora, zanim nową otworzono jej szluzę.

Inżynier tymczasem stał nieruchomy, z wytężonym słuchem, z wlepionem w otchłań okiem, nie mówiąc ani słowa.

Marynarz zbliżył się do niego i dotykając jego ramienia rzekł:

— Panie Smith!

— Czego sobie życzysz, mój przyjacielu? odparł inżynier, jakgdyby duch jego powrócił dopiero z krainy marzeń.

— Pochodnie niebawem pogasną.

— A więc w drogę! odparł Cyrus Smith.

Mały nasz orszak opuścił pieczarę i począł wspinać się w górę ciemnym kurytarzem. Top zamykał pochód, warcząc jeszcze od czasu do czasu. Droga była dość uciążliwą. Osadnicy zatrzymali się chwilkę w górnej pieczarze, która tworzyła rodzaj przedsionka w samej połowie tego długiego szeregu granitowych schodów. Poczem ruszyli dalej.

Wkrótce owiało ich świeże powietrze. Kropelki wody osuszone przez waporyzację nie błyszczały więcej po ścianach. Zakopcone światło pochodni bladło coraz bardziej. Pochodnia, którą niósł Nab zagasła zupełnie, i nie chcąc błądzić wśród grubych ciemności, trzeba się było spieszyć.

To też właśnie uczyniono, i przed samą prawie czwartą, w chwili gdy z koleji zagasła pochodnia marynarza, Cyrus Smith z towarzyszami swoimi stanęli u otworu odpływowego kanału. (C. d. n.)

POGADANKI.

XXVIII.

Już nawet i teatr lwowski przeniósł się nad milsze i przewiewniejsze brzegi Bystrzycy, niosąc dalekiemu Pokuciu błogosławieństwo Muz i czarowne ich uśmiechy, a my tu zostaliśmy sami z kurzem i wonią nadpeltwiańską, z rozebranemi chodnikami i próbami asfaltowania, rozpoczętemi przed wyszynkiem piwa ołomunieckiego na rogu ulicy Szajnochy, i po piętnastu dniach doprowadzonemi o piętnaście kroków dalej, do wyszynku piwa lwowskiego i okocimskiego. Co będzie dalej, gdy nadzieja ochłodzenia się jęczmiennym nektarem przestanie zagrzewać robotników do pracy, tego nie wiem, sądzę wszelako, iż przy dotychczasowej wytrwałości nie trudno byłoby w ciągu jednego roku wylać asfaltem ogromną przestrzeń, dzielącą biura Wydziału krajowego od biur Florjanki. Turyści, którzy zwiedzają nasze miasto i zachwycają się jego porządkami, zachwycaliby się jeszcze bardziej, gdyby wiedzieli, w jak krótkim przeciągu czasu uskuteczniono te dzieła, w obec których fraszką jest wszystko co bają o Cyklopach i Tytanach. I tak n. p. dwa miesiące wystarczyły do wybrukowania tej części ulicy Kopernika, która ciągnie się od ulicy Ossolińskich do ulicy Szajnochy. Z obawy wszakże, ażeby zwierzchności miejskiej nie obwiniono o protekcję dla ulic bliższych na niekorzyść przedmieść, nie prowadzą się roboty dalej, ale raczej początek bruku, przeznaczony dla ulicy Kopernika, umieszcza się na ulicy Sykstuskiej. Niemniej podziwienia godnym jest system skrapiania ulic, które powierzono przedsiębiorcy za cenę ryczałtową. Przedsiębiorca, powziąwszy od meteorologów pewność, iż tego lata będziemy mieli częste deszcze, zawarł ugodę z obłokami, i wypuścił im skrapianie ulic z drugiej ręki. Kapryśne niebo nie dotrzymuje wszelako ugody, czemu oczywiście nie winien ani magistrat, ani przedsiębiorca. Ten ostatnb, tknięty do żywego nierzetelnością „aury“ wykrapia przeto codziennie w przecięciu pięćdziesiąt wiader wody na ulice, licząc razem około 12 mil długości, tj. jedno wiadro na 960 sążni wiedeńskich, czyli kwartę na 16 sążni, długości, lub około 50 sążni kwadratowych. Jeżeli tak obficie zlane ulice pomimo to kurzą, to już niechaj jaki fizyk poradzi co począć w takim razie. Byłoby pożądaną rzeczą, gdyby rada miejska wydelegowała którego ze swoich członków do zbadania tego zjawiska i zaradzenia złemu. Szanowny ten obywatel niechajby przystąpił do próby w ten sposób, by się przekonał poprzednio, czyli n. p. kwarta piwa wystarczy do zwilżenia jego żołądka który przy największej peryferyi zewnętrznej, nie może mieć wewnątrz więcej jak $^1/_4$ sążnia kwadr. powierzchni. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, fizyk nasz uzna, iż potrzeba na to najmniej dwóch kwart. Otóż, jeżeli dwie kwarty płynu wystarczą zaledwie na posuchę w żołądku obywatelskim, jakimże sposobem mogą zwilżyć 100 sążni kwadratowych suchego bruku!

* * *

Zdaje się wszakże, że wkrótce będziemy mieli burzę, już bowiem grzmi od zachodu, w odcinku *Czasu*. Pociski miotane na *Dramat bez nazwy* rozgniewały Jowisza osiadłego pod Smoczą Jamą, i potrząsł pękiem grotów w swojej prawicy, srożąc się jak gdyby Juno wypłatała jakiego figla ulubieńcowi jego, Herkulesowi. Kto wie, czy węzeł krwi olimpijskiej, jak Jowisza z Herkulesem, nie łączy szanownego fejletonisty z owym dramatem? Utrzymuje on, iż dramat spotkał się z zarzutami jedynie ze strony tych, którzy wywołali ruch w r. 1863 a później schowali się, ocalając światu w osobach swoich, historjografów krwawej walki. Takich to paniczów irytować ma prawda, a tylko prawda i czysta prawda ma być tłem, na którem osnuty jest „*Dramat bez nazwy*“. Dość jest zaglądnąć do roczników *Czasu* z owych dni walki, ażeby się przekonać, jak mało inicjatorów ruchu z r. 1863 przeżyło wypadki przez siebie wywołane. Między tymi zaś, co „pędzili do czynu“, jak się wyraża fejletonista, a pragnęli i potrafili przeżyć czyn, jak Halban Wallenroda, między tymi, powiadam, *Dramat bez nazwy* nie wywołał oburzenia — w znacznej części bowiem znaleść ich można w najbliższem sąsiedztwie *Czasu* i pod opiekuńczemi jego skrzydłami. Wszak autorowie *Teki Stańczyka* i tym podobnych elukubracyj w r. 1863 zajmowali wybitniejsze miejsce między „pędzącymi do czynu“ od tych, których oburzają ich potwarze. *Dramat bez nazwy* nie przedstawia prawdy, nie daje wiernego wyobrażenia stosunków i wypadków, około których obraca się treść jego. Czarne i nędzne jego postacie mogły wprawdzie istnieć, ale były wyjątkami, podczas gdy w dramacie uosobioną w nich jest myśl samodzielna całego ruchu, wszyscy szlachetni zaś są tylko uwiedzionemi i popchniętemi w przepaść ofiarami — jak gdyby nigdy nie było serc gorących, z własnego natchnienia rwących się do czynu i porywających ogół za sobą, jak gdyby podłe dusze tchórzów nie w późniejszym dopiero okresie przyłączyły się do ruchu, aby go spralitować, i jak gdyby wszyscy dzielni i waleczni koniecznie musieli zginąć na wojnie lub na rusztowaniu. Dramat który w ten sposób przedstawia wypadki z r. 1863 i ich motorów, jest niegodziwym, potwarczym paszkwilem, a piętna infamji z czoła jego autora nie zmyje żadna obrona, ani też nie ocali go od potępienia to, że widać w nim talent pisarski. Literatura włoska posiada od 16 wieku zbiór rozpustnych sonetów, napisanych z talentem godnym Dantego, Petrarki lub Tassa. Sonety żyją dotychczas, ale nazwisko ich autora wspominane jest z pogardą przez ludzi najmniej drażliwych i wybrednych w kwestji moralności. To samo, w najlepszym razie, może być udziałem autora *Dramatu bez nazwy*, i dla tego też nie bez kozery jegomość ten otoczył się zasłoną bezimienności.

* * *

Pojawił się już pierwszy zeszyt zapowiedzianego nowego wydania dzieła Bodzantowicza (Suffczyńskiego) *Zawsze oni*. Wydawcy Żupańskiemu można bez wahania się oddać pochwałę, iż wydanie jest przepyszne a co się tyczy ilustracyj wykonanych przez Kossaka, nie wiele można widzieć podobnie doskonałego i za granicą. Od karty tytułowej, przedstawiającej Suffczyńskiego, który czyta, i Pola, który słucha, trudno oderwać oka, osobliwie jeżeli się miało sposobność widzieć obydwu pisarzy za życia. Całość będzie jedną z najpiękniejszych ozdób każdego salonu.

Byłoby do życzenia, gdyby u nas oprócz wydań zwykłych, a znowu tak ozdobnych i kosztownych, jak powyższe, umiano gdzie potrzeba połączyć pewną elegancję z praktycznością. Oto wyszedł właśnie „Przewodnik po Krakowie i jego okolicach“ wydany przez A. Nowoleckiego. Zawiera on wiele informacyj bardzo cennych dla każdego, co po raz pierwszy zwidza Kraków, druk jest dobry, i papier piękny, Natomiast język zaniedbany, plan miasta nie odpowiadający najskromniejszym wymaganiom, ilustracyj parę, stojących poniżej krytyki, a trzecią część tomika zajmują inseraty, wszystko to razem każe westchnąć nad różnicą między tym Przewodnikiem a książkami np. Baedekera, ułożonemi tak praktycznie i zwięźle, a zaopatrzonemi w tak doskonałe mapy i plany. Z rzeczy godnych widzenia, ilustracje przedstawiają nam: medal na cześć mniemanego założyciela plantacyj, godło krakowskiego Towarz. ubezpieczeń wzajemnych, kaplicę w Szczawnicy, widok Babiej góry i kopję jego, ochrzczoną „widokiem Tatrów“. Wyliczenie to niechaj starczy za krytykę.

Jan Lam.

Wystawa obrazów w Paryżu w r. 1875.

Paryż d. 1. czerwca 1875 r.

(Dokończenie.)

17. *Dramard.* **„Zbiór jabłek w dolnej Normandji“. Wdzięczny obrazek. Bez wielkich pretensji, na-**

kreślony nie bez pewnego talentu, i bardzo przyzwoicie na skromnem utrzymujący się stanowisku. Tego o następnym powiedzieć nie można.

18. *Duran* (Carolus). Zaczynając od imienia artysty, które z Karola (Charles) na Carolus'a niedorzeczna przerobiła fantazja, wszystko tu pretensjonalne, obliczone na efekt. Dwa portrety: jeden dojrzałej już damy, drugi własnej dziesięcioletniej córeczki malarza. Co w portrecie najwybitniej, najpierwiej patrzącego uderzać powinno oko? Twarz modelu odpowie każdy. — Otóż u p. Duran (Carolusa) rzecz się ma wręcz przeciwnie. W portrecie dojrzałej damy, bije w oczy jej czarna jedwabna, sieczką według mody naszywana suknia, a w portrecie małej dziewczynki, jej liljowa sukienka, lub różowo-płomieniste draperje znajdujące się za krzesłem, na którem siedzi. Gdyby kto powiedział, że to są tych sukni i draperji wzory, do których tylko pierwsze lepsze przyczepiono głowy, nie bardzo by się z istotną rozminął prawdą. Efekt zupełnie chybiony. Zresztą nie brak talentu.

19. *France.* Wcale niezły i powyższym zarzutom niepodlegający wizerunek podżyłego już mężczyzny, twarz dobrze oświecona. W kolorycie coś, co Flamandzką przypomina szkołę.

G.) 20. *Gelibert.* „Bukiet maków polnych." W niedostatku wielkiego malarstwa wyznaję słabość moją do pejzażu i w ogóle do rzeczy kopjujących naturę. Wielkich trzeba wad w wykonaniu, by mię takowe nie zadowoliły. Spieszę dodać iż „maki" p. Gelibert wcale tak stronniczego nie potrzebują pobłażania i srogiego nawet potrafiłyby ująć cenzora.

21. *Gigoux.* „Ojciec Lecour". Doskonały typ wieśniaka z okolic Paryża. Piotr Dupont, znany pisarz piosenek stworzył jedną bardzo charakterystyczną, pod tytułem „Woły" (Les boeufs) w której wieśniak wychwalając swoją chudobę, powiada, że wolałby by mu umarła żona, niż by cokolwiek złego stać się miało ukochanej parze wołów. Otóż na twarzy „Ojca Lecour" mniej więcej podobne wyczytasz sentymenta. Chciwy chłop, ojca, żonę, dzieci oddałby za parę wołów, lub za szmat ornej roli. Głowa dziwnie żyjąca, świetnie modelowana. Wielkiego talentu ślady. Nic zresztą dziwnego, p. Gigoux to wspomnienie lepszej epoki malarstwa.

22. *Goupil.* Kobieta w stroju z czasów Dyrektorjatu. „Une merveilleuse", (miano elegantek owej epoki.) Malowidło przyciąga oczy. Niezła postawa, kostjum starannie opracowany. Atlasy sukni błyszczą wspaniale i fałdują się jak trzeba. Ale albo bardzo się mylę, albo sporo tam niedostatków w kolorycie twarzy, która robi mi wrażenie prędzej kartonowej maski, aniżeli ciała żywego.

H). 23. *Hanoteau.* „Żaby." Pejzaż. Chwalę ten na kredyt, wyznaję. Znawcy powiadają mi, że dobry, doskonały. Bardzo być może. Gdybym jednak patrzał nań sam, wątpię czybym odszedł z tem przekonaniem.

24. *Harlamoff.* Pisząc to nazwisko, francuskiej używam ortografji. Potret słynnej muzyczki, śpiewaczki „Pani Pauliny Viardot." Jeden z lepszych, tegorocznej wystawy, jeżli rozumie się malowany przez Bonnat usuniem na stronę. Dużo śmiałości w wykonaniu. Ani zgadnąć początkującego malarza. Szkoda tylko, że p. Harlamoff w portrecie swoim nie postarał się jak p. Bonnatt w swoim o uwydatnienie artystycznego charakteru tej, co mu za model służyła. Portret to zwykłej kobiety.

25. *Healy.* Amerykanin z Bostonu. Nareszcie i tam sztuka przejawiać się zaczyna. Portret znowu. Sporo ich w tym roku. Portret „Lorda" Lyons angielskiego tu ambasadora. Sympatyczne malowidło. Twarz wyrazista. W dolnej jej szczęce coś jakby do opasłego buldoga podobieństwo. O przeważnej większości synów Albionu, to samo powiedzieć można. Koloryt jasny, bez tych plam ciemnych na licach modelu, któremi wielu dziś malarzy niby to chcą małpować pół-światło Rembrandtowskie, a które najczęściej nieudolność ich tylko i śmieszne zdradzają pretensje.

26. *Henner.* „Najada." Wodnica zda się po naszemu, u brzegów strumienia, leniwie i rozkosznie na miękkiej wyciąga się murawie. Przedmiot oklepany już potrosze. Tyle się tych nimf, rusałek itd., przed widzów przesunęło okiem. Jeden dowód więcej, że lepiej stare a znane, dobrze powtarzać rzeczy niźli nad wymyślaniem nowych a słabych, daremnie suszyć głowę. Pan Henner powtórzył tylko, ale powtórzył z talentem, i obrazek jego przyjemne robi wrażenie. Mogą w nim być wady rysunku. Na tem my się nie znamy. Ale efekt jest, twarz wodnicy dobrze miękkie wyraża lenistwo, dobrze się na tle ciemnozielonego odbija gaju. I tego dosyć.

J.) 27. *Jacquemart.* (Panna Nélie.) Aż trzy portrety: mężczyzny, kobiety i dziecka. Trzeba być malarzem samemu, by dokładnie ocenić ich zalety. Przed parą laty portret Thiers'a przez pnę. Jacquemart malowany, silne wywarł wrażenie i honorowym nagrodzony został medalem. Obecne nie zdają mi się być gorsze.

28. *Jacquet.* „Marzenie." Młoda kobieta w ponsowej aksamitnej sukni, marzy zaciśnięta w głębie fotelu. Marzy? O czem? Kto to wiedzieć może. Ruch ręki zasłaniającej piersi, gorączkowy rzekłbyś blask spojrzenia, zdają się jakąś wyrażać trwogę. Czy żałuje, czy boi się czego? Tajemnica. Utwór pełen talentu. Kolor twarzy przezroczysty, nie brak mu życia, widać krew, jak nurtuje pod tą pieszczoną skóry tkanką. Suknia wypracowana bez przesady, w harmonijne postać ujmuje fałdy. Wdzięk i śmiałość wykonania zarazem. Pan Jacquet to uczeń p. Bougereau (patrz wyżej). Są jajka kury nauczyć zdolne.

29. *Jourdan.* „Białowłosy staruszek na kolanach nowonarodzone huśta wnuczę." Ładny i miły obrazek. Koloryt za wyblakły zostawia do życzenia, ale zryta zmarszczkami twarz staruszka tak dobrze wyraża nadzieję, odżywające we wnuku, buziak niemowlęcia tak ładnym i żywcem z natury schwyconym krzywi się grymasem, że to krytyka rozbraja zupełnie, do względnego zmuszając pobłażania.

K. L.) 30. *Lazerges.* „Portret sędziwej ale czerstwej i rumianej jeszcze matrony." Rzecz umiejętnie traktowana. Model dobrze upozowany i oświetlony z talentem. Twarz staruszki sympatyczna. Chuda, biała jej ręka wsparta na poręczy fotelu zadziwia prawdą i dokładnością wykonania.

31. *Lecomte du Nouy.* „Sen Cosrou." Czarny strażnik haremu drzemie. Twarz jego aż nadto dokładnie wyraża, jakie sen jego nawiedzają mary. Autorowi malowidła tego było nie dosyć, zapragnął podkreślić swoją intencję i miast znośnej kompozyśji, nieprzyzwoitego wytworzył cudaka. Tej w półnagiej odaliski widziadło, ten czarcik z boku pokazujący uśpionemu kilka brzytew, narzędzie jego niedoli, wytwarzają całość, którąbym prędzej i z większą słusznością poświęcił na cnoty ołtarzu, niż rysunki Eisen'a, do Lafontaine'owskich „Powieści." Staranność, drobnostkowość wykonania, jeszcze bardziej uwydatniają cynizm idei.

32. *Lehmann.* Uczeń Petersburgskiej szkoły sztuk pięknych. „Potret pani A" katalog powiada. Jak oceniać zdaleka, portrety mniej więcej, równe sobie pod względem talentu? Powtarzać by się ciągle było potrzeba. Ten nie gorszy od inych to wszystko co o nim powiedzieć można.

33. *Luminais.* „Król Morran." P. Luminais od lat kilku wziął sobie za zadanie odtwarzać w obrazach przedchrześcijańską epokę. W przeszłym roku dał nam epizod z najścia Rzymu przez Gallów; w tym przedstawia nam bretońskiego monarchę współczesnego pierwsaym Karlowingjuszom. Król Morran siedzi na tronie i przyjmuje posłów Ludwika dobrego (Louis le Debonnaire) którzy mu przynoszą propozycję pokoju. Pochylona nad uchem sędziwego monarchy małżonka jego czy faworyta, jakieś złowieszcze, widać to z wyrazu jej twarzy, podsuwa mu rady. Malowidło, co najwięcej, znośne. Ciągle te same typy. Króla Morranna widzieliśmy już w przeszłorocznym obrazie. Wtedy, towarzysz Brennus'a, dzisiejszą żonę czy faworytę, przytroczoną do konia, wojennym unosił łupem. Pan Luminais widocznie dla oszczędności jednym i tym samym ciągle posługuje się modelem i tylko różnemi zaprawia go sosami.

M.) 34. *Marchal.* Illustracja do dziejów hulaszczego paryskiego żywota. Scena przedstawia gabinet pierwszej lepszej nocnej restauracji. Koniec orgji; lampy gasną. U stołu zawalonego resztkami biesiady, pjany drzemie mężczyzna. Rozmamana piękność z pół świata, stojąc obok, wstrząsa go za ramię, i by jej towarzyszył, wmówić weń usiłuje. Tytuł obrazu „Pastwa" (La Proie). Więcej dobrych chęci niż skutku. Artysta chciał widocznie scenę zrobić cnotliwie wstrętną, a zrobił ją tylko śmieszną. Mało prawdy w postawie mężczyzny. Nie pjany on jak trzeba a tylko pozuje i pozuje niezręcznie. Dzienne światło wdzierając się przez okna, źle walczy z gasnących lamp migotaniem. Postać kobiety najudatniejsza.

35. *Monginot.* „Przyjaciele domowi". Pies, kot papuga etc. Menażerja domowa, każdy łatwo odgadnie. Obrazek sprytny a bez pretensji. Poza psa wyciągającego się przy ciepłem ognisku dobrze wybrana i wystudjowana, kot także w swym kącie malutkiem jest arcydziełem. Mniej lubię resztę.

N.) 36. *De Neuville.* Mówiąc o obrazie pana Berne Bellecour, bitwę wyobrażającym, odesłałem was tutaj jako do daleko udatniejszej w tym samym rodzaju próby. „Epizod z potyczki pod Villersexel 9 Stycznia 1871 r." pana de Neuville, to według nas ostatni wyraz tego rodzaju malarstwa. Walka ma się ku końcowi. Villersexel zdobyty. Prusacy pobici i ostatnia ich garstka w zabarykadowanym zamknięta domu, broni się do upadłego. Przez wszystkie otwory budynku wyglądają dymiące się lufy karabinów. Mobile francuscy chcą wysadzić wrota tej improwizowanej fortecy. Gromadzą więc przed niemi pęki chrustu i słomy, usiłując ogień rozniecić. Obraz pełen życia i ruchu, każda postać oddzielnie wzięta, zadziwia prawdą i naturalnością postawy. Jeden z mobilów najbliżej stojący widząc jak go na cel biorą przypłaszcza się przy ścianie i radby gdyby moc po temu, wśrubować się w nią ryczałtem. Instynkt zachowawczy na zaczernionej od dymu twarzy młodzieńca wielkiemi się wypisał literami. Gdyby innych nie było, tej jednej postaci dosyć, by obrazowi wielkie a słuszne zapewnić powodzenie. Łuna pożaru zburzonego miasteczka rozjaśnia malowidło, tło jego żywym barwiąc kolorytem. Obraz już, jak mówią, sprzedany za 32.000 franków. Nie drogo.

O P.) 37. *Parrot.* „Portret pani Sary Bernhaardt artystki francuskiego teatru." Tak się ma do portretu pani Pasca, pędzla p. Bonnat, jak talent pierwszego modelu, chciałem powiedzieć do talentu drugiego, ale po namyśle nie chcę tak dalece młodej ubliżać aktorce i wyznaję, że w mej proporcji przesadziłem potrosze. Co nieprzeszkadza prawdzie, iż utwor pana Parrot wiele zostawia do życzenia i że oprócz dość zgrabnie schwyconego podobieństwa, nie odznacza się ani kolorytem ani poprawnością rysunku.

38. *Patrois.* „Dzieci na lodzie." Obrazek z życia i z natury rosyjskiej. Pan Patrois długo bawił na północy i wyniesione stamtąd wspomnienia na płótno przenosi. Często, jak w tym roku naprzykład z talentem i powodzeniem. Nie tak to łatwo z pamięci zwłaszcza, schwycić ton nieba i powietrza tamtejszych zamrożonych krain. Panu Patrois to się udaje, lepiej przynajmniej niż innym. Dzieci? Zwykle dzieci ujdą.

39. *Pérignon.* „Portret panny P." Na biało popielatem tle w biało popielatej sukni panienka. „Tour de force" jak powiadają Francuzi. Główna zaleta malowidła w modelunku, który pomimo bliskiego sąsiedztwa jednostajnych kolorów, uwydatnia linje ciała i uchwycić je oku pozwala.

40. *Puvis de Chavannes.* „Rodzina rybaków". To jeden z malarzy, który się za późno urodził i któremu daleko właściwiej byłoby w XIV. lub XV. figurować stuleciu. Uparł się bowiem malować tak, jak malował niegyś Giotto lub inni średniowieczni pjonierowie malarskiego kunsztu. Rozumie się iż mówiąc to tylko techniczną stronę wykonania, a nie talent pana Puvis de Chavannes mamy na względzie. Pan Puvis de Chavannes to Giotto, lecz Giotto przenicowany. Postacie blade, płaskie, bez ciała. Modelunku żadnego, cieniów także prawie żadnych. I pomyśleć, że są ludzie, którym to się podoba i którzy nad tem zachwycać się mogą.

R.) 41. *Rapin.* „Rosa w dolinie". Rosa rzeczywiście na tej doliny perli się kwiatach. Wschodzące słońce w jej się odbijając kropelkach barwnych, tęcz wytwarza tysiące. Pełen wdzięku i świeżości pejzażyk. Imię artysty wywołuje mimowolny uśmiech na usta widzów. „Rapin" w specjalnem tutejszem narzeczu pracowni malarskich (argot d'atelier,) znaczy to samo co początkujący aspirant na artystę do rozcierania farb używany. Takich „rapinów" daj Boże więcej.

42. *Ribot.* „Wnętrze karczmy Normandzkiej." Autor choruje na Ribeirę i zdaje mu się że dopnie

swego ideału, brzydotę tylko widząc w naturze i brzydotę z niej tylko przenosząc na płótno. W kole karczemnych biesiadników trudno zapewne szukać ideałów, lecz to nieprzeszkadza, iż Teniers, lub Van-Ostade naprzykład, mniej więcej podobne malując sceny, umieli nadać im cechę prawdy, nie obdarzając głównych postaci tak szpitalno-galerniczemi twarzami, jak te, które figurują na obrazie p. Ribot. Szkoda, bo zkąd inąd nie brak w nim talentu. Jest siła w wykonaniu; jest ten zamach pędzla, na który nie zdobędą się drżące dłonie początkującego ucznia. Jest nawet poszukiwanie prawdy, tylko fałszywą skierowane drogą.

S.) 43. *Salmson-Hugo.* „Pierrot“ wyraz do spolszczenia niepodobny. „Pierrot“ w więzieniu. Z jakiejś maskarady, gdzie po pjanemu zapewne różnych narobił, brewerji, młodzik za „pierrota“ przebrany, nazajutrz rano budzi się w kozie. Podnosząc się nieco na słomianej pościeli, przeciera oczy a patrząc w koło i rozpamiętując ubiegłej nocy zdarzenia, zdaje się pytać jak i za co do tak smętnej dostał się sypialni. Dowcipny i zabawny obrazek. Obmączona twarz Pierrota dobrze wyraża, to co wyrażać powinna: podziw i oszołomienie. Dzienne światło przez małe zakratowane w górze okienko, w samą miarę oświeca komiczne przestępcy grymasy. Życie i prawda dwie ważne utworu zalety.

44. *Simonetti.* „Pierwsza bajka.“ Mała dziewczynka stojąc przed mamą recytuje jej pierwszą, nauczoną na pamięć bajeczkę. Pan Simonetti to uczeń owego sławnego Fortuny. Naśladuje go też, jak może, lecz niestety, jak każdy prawie naśladowca wszystkie jego niedostatki odtwarza na swem drobnem płótnie a rzadko gdzie którą wzoru zaletę. Ideja miluchna i obrazek mógłby był się udać zupełnie, gdyby trochę więcej staranności w wykonaniu, gdyby nie te szach, mach pędzlem, które mogły być przebaczonemi znakomitemu jak Fortuny koloryście, lecz które powtórzone przez naśladowcę jego, przywodzą na myśl znane przysłowie łacińskie „Quod licet Jovi, non licet bovi.“ Z tem wszystkiem obrazek niezłe wywiera wrażenie.

45. *Soyer.* „Karmelitka.“ Oblicze mniszki bladej, wymęczonej postem, włosiennicą a może i biczowaniem. W oczach coś, co nabożniś nadziemskim zachwytem, niedowiarek zaś gorączkową nazwie egzaltacją. Malowidło mglisto-delikatne, ale nie bez wdzięku i nie bez dystynkcji.

46. *Sylvestre.* „Śmierć Seneki.“ Słynny filozof otoczony uczniami, spisującymi ostatnie słowa mistrza, stoi w wannie, w którą krew spływa kroplami z rozciętych żył męczennika. Obraz w ogólnym układzie pretensjonalny i wymuszony. Zbawiają go niektóre postacie. Koloryt ciała Seneki wydaje nam się niewłaściwym, bo zgonu rychłego nie zapowiadającym.

T. U.) 47. *Ulmann.* „Kain i Abel.“ Dręczony wyrzutami sumienia pierwszy morderca, nad pierwszą pochyla się ofiarą. Przedmiot dramatyczny i o ile sobie przypominamy, nieraz już traktowany. Nie podołał mu zupełnie za słaby talent artysty. Obrazowi nie brak zalet. Postać Kaina wyrazista i niczego, lecz Abel, co przed nim leży, wielkie ma podobieństwo do wypchanej kłakami lalki i wątpimy, by kiedykolwiek żył i na nogach się trzymał.

V) 48. *Vibert.* „Mrówka i konik polny.“ Illustracja do bajki La-Fontaine'a „La cigale et la fourmi“. Mrówka w obrazie to tłusty i rumiany bernardyn, konik zaś polny. to chudy i wybladły muzykus wędrowny, któremu wyżej wspomniany mnich żebranej odmawia jałmużny. Zgoda na wędrownego muzykusa. Między nim a konikiem polnym, nie trudno zapewne wielkiego dopatrzyć podobieństwa. Ale któżby w zakonniku poświęconym modlitwie i z jałmużny także żyjącym, roboczej, pracowitej, dopatrzył mrówki? Bajka zatem źle zrozumiana. Wykonanie prawie odpowiada idei. Są tam rzeczy zgrabne, lecz i na tem koniec.

W rubryce „zawodów“ sześciu umieścimy malarzy:

I.) 49. *Cabanel.* Według nas, to ledwie, że zawód. Nigdyśmy bowiem do malarza tego wielkiego nie mieli nabożeństwa, ale wybitne stanowisko jakie on w artystycznym zajmuje świecie i rozgłos jego imienia zmuszają nas do zaliczenia ostatniego jego utworu między te, na których zawiedliśmy się niestety. „Thamar u brata swego Absalona.“ Scena biblijna, kolorowana bogato. Co za zbytek kolorów. Fjolet przy błękicie i szkarłat przy karmazynie. Lecz jak mało w ich układzie gustu, doboru, harmonji. Postacie źle się trzymają na nogach. Ręce ich rzekłbyś ćwiekami przymocowane do reszty ciała, lub wznoszą się w górę sztywnie, lub ciężko opadają ku ziemi. W przestrzeni brak powietrza zupełny. To nie niebo, to jakieś z szafirowej tektury sklepienie. Wady uderzają oko, a zalet szuka się napróżno.

II.) 50. *Doré* (Gustaw). „Karta z Dantejskiego piekła.“ Dante i Wirgiljusz w siódmym okręgu. „Boska komedja“ pieśń XXIV. Wielkie, szare płótno. Tysiące na niem majaczeje postaci. W różnych mniej więcej sztucznych i wyłamanych pozach, zgraje potępieńców w wężowych wiją się splotach. Rzekłbyś powtórzone do nieskończenia, „Laokonów“ grupy. Nie masz całości w układzie obrazu. Rzecz nadto roztrzęsiona. Oko nie wie gdzie spocząć, gdzie się zatrzymać. Mówią ludzie, iż niektóre postacie potępieńców mistrzowskim uderzają rysunkiem. Wyznaję, żem ich szukał napróżno. Być może, żem ślepy. Widok obrazu nie przepełnia zgrozą, jakby być powinno, i jak tego bez wątpienia sobie życzył artysta. Efekt więc moralny chybiony. Efekt plastyczny żaden. Lepszem by to może było w rysunku, cienkim odcieniowane ołówkiem. Na płótnie to rozmazane, mgliste, bez wyrazu. Zawód, zawód zupełny!

III.) 51. *Hébert.* „Portrety.“ Podpisane nieznanem jakiem nazwiskiem, zostałyby bez wątpienia u wrót wystawy na odwrotnej płócien stronie z wielką literą „R“ (Réfusé). Podpisane przez p. Hébert, członka Instytutu i dyrektora francuskiej szkoły Sztuk pięknych w Rzymie, figurują na paradnem miejscu wystawy. P. Hebert przed kilku laty wystawił był obraz przedstawiający Włoszkę z okolic Rzymu, chorą na „malarję“ (febra miejscowa w tak zwanych „Błotach Pontyńskich,“ nieustanną grasująca zarazą.) Otóż pędzel Hebert'a widocznie tej przykrej uległ chorobie i wszystko, czego się dotyka znaczy jej piętnem. Portrety tegoroczne jakimści bladożółtym malowane sosem, widocznie chore. Ni śladu w nich talentu, zasługującego na tak wysokie dostojeństwa w hierarchji artystycznej jak ta, które piastuje p. Hebert. Ślady przeciwnie wielkiej niedbałości. A jednakże „Succés oblige!“ mądra mówi sentencja.

IV.) 52. *Lehoux.* „Samson zrywający kajdany.“ Jak coś podobnego na porządnej zjawić się mogło wystawie, każdy sobie po cichu podobne zadawać musi pytanie. Samson stoi na wschodach świątyni, unosząc w ręku, po nad głową cielsko zwalczonego Filistyna. Widocznie strącić je w dół zamierza. Drugi Filistyn już strącony, leży na stopniach wschodów. Reszta, tłum cały, przypatruje się nieruchomie tym ciekawym igrzyskom. Postać Samsona niedorzeczna; ni powagi w niej, ni namaszczenia. Muskuły, któremi go malarz hojnie uposażył wyglądają raczej na jakieś chorobliwe nabrzmiałości. W wielu miejscach niedbałość wykonania rażąca. Długie naprzykład, według legendy, włosy Samsona, jakąś żółtą, konopiastą, nad czołem jego unoszą się grzywą. Tłum Filistynów źle ugrupowany, nic nie wyraża, ni strachu, ni oburzenia. Obraz błędny pod każdym względem, odznacza się tylko sporą dozą pretensji.

V.) 53. *Munkacsy.* „Bohaterowie wioskowi.“ Ze smutkiem ten ostatni obraz w „Zawodów“ zapisujemy rzędzie. Tak nam jednak każe przekonanie. Przed kilką laty bardzo ładne tegoż samego artysty płótno „Ostatni dzień skazanego na śmierć“ na tutejszej figurowało wystawie. Otóż, kto tylko tamto sobie przypomnieć raczy, przyzna mi słuszność niechybnie, bo dzisiejszych „Bohaterów wioskowych,“ inaczej jak słowem „zawód“ określić nie zdoła. Olbrzymia bowiem między temi dwoma utworami widnieje różnica. Głęboka oryginalność i świeżość typów tamtego malowidła w teraźniejszem ustąpiła miejsca powtarzaniu samego siebie, lub co gorzej, powtarzaniu tego, co się u innych widziało. Ci dwaj na środku karczmy kułakami grożący sobie zapaśnicy figurowali nie na jednem już płótnie malarzy bójek karczemnych. Kostjum węgierski nic nie znaczy. Nie on stanowi oryginalność, stanowi ją wyraz twarzy i postawa, a ta ostatnia szczególniej z czegoś skopjowana. A koloryt tak jasny niegdyś i naturalny, cóż go dzisiaj jakąś posępną zawleka chmurą? Nie wątpimy, iż to chwila tylko przejścia w talencie artysty, i że przyszłoroczna wystawa w dawnem go nam przedstawi świetle.

VI.) 54. *Vollon.* Co tego, to wbrew wszystkim, na własną zupełnie odpowiedzialność, w tej smętnej mieścimy rubryce. Wieprz zabity i rozpłatany, na rzeźniczej wisi wystawie. To treść obrazu. Mogą go podziwiać znawcy anatomji zwierzęcej. Mogą się nim lubować amatorowie szynek i słoniny. Może go p. Paul de Saint-Victor nazywać specjałem „apetycznym dla wzroku,“ ja go pomieszczę w tym samym artyzmu rzędzie, co i poemat „O kwaszeniu ogórków,“ gdyby kto takowy napisać się wysilił. Według mnie wszystko prędzej i raczej artyście przebaczyć można. Trywialność nie zasługuje w nim na przebaczenie.

Sztukę Polską na tegorocznej wystawie sześciu reprezentuje malarzy:

I.) 55. *Bakałowicz.* Niezmordowany od lat kilku żadnej nieopuszczający ekspozycji. Na tegoroczną dwa przysłał obrazki: Jeden quasi-historyczny przedstawia „Ludwika XIII. z kardynałem Richelieu.“ zasiadającego do partji szachów. Drugi do rzędu „martwych natur“ zaliczyć się dający, przedstawia pudełko z klejnotami. Są to nie brzydkie malowidełka na ściany eleganckiego współczesnego salonu. Ozdobią je bez wątpienia. Dla czego p. Bakałowicz sił swych w jakiej większej nie wypróbuje kompozycji? Talentu mu nie brak. Pracuje z wytrwałością i widocznem zamiłowaniem. Drobne figurki dotychczasowych jego utworów ruszają się i żyją. Dobrze ustawione, dobrze ugrupowane, wygrałyby rozrastając się nieco i na szersze przesiedlając się płótno. Jak na tych miniaturkowych twarzach śledzić za wyrazem uczucia, lub namiętności? A ten jeden według nas przynajmniej, dobrze schwycony i dobrze oddany jest probierczym kamieniem zdolności historycznego malarza. Oblicze człowieka i od rozpaczy do roskoszy cała gamma na niem wstrząśnień wewnętrznych, oto, bądź co bądź (o krajobrazie zapominamy chwilowo) jedyne pole istotnego artyzmu w malarstwie. Kopjować to oblicze wiernie, lub idealizować je, gdy wola, jedynem zadaniem istotnego artysty. Reszta to zabawka. Otóż p. Bakałowicz bawił się już dość długo.

II.) 56. *Cetner.* Młody i wiele obiecujący artysta. „Salambô,“ postać z znanego pod tym tytułem Gustawa Flaubert romansu. Postać kobieca w kostjumie starożytno-wschodnim wiernie z powieści skopjowanym. Poza jej nieco manjerowana, przypomina dużo rzeczy widzianych gdzieindziej w tym samym rodzaju. Nic dziwnego, młody malarz zanim na własnych zacznie bujać skrzydełkach, czepia się wprzód skrzydeł starszych, tych co go z powodzeniem w tym samym poprzedzili zawodzie. Zwykła to wszystkich prawie początkujących historja. W wyrazistych czarnych oczach kobiety skwarne nieco jej południowej odbija się ojczyzny, i coś co zachęca do dzierżgania poetyczniejszych epizodów, na tej samej kanwie poetyczniejszych niż romans p. Flaubert. Koloryt dobry. Rysunek zda mi się poprawny. Jednem słowem piękna na przyszłość nadzieja.

III.) 57. *Gąsowski* (Artiur). „Portret“ i „dwa pejzaże.“ O portrecie jak biskup-poeta o „Ryczywore“ zamilczeć wolę. Rodzaj to malarstwa niewłaściwy talentowi artysty. Pejzaże o wiele lepsze. Jeden szczególniej, ten wyobrażający krawędzie gęstego boru. Mało urozmaicony, nie goniący za efektem, nie podchlebia oku i tylko po dłuższem badaniu należycie ocenić się daje. Gamma zieleni, jaśniejsza brzózek i klonów, ciemniejsza dębów, ciemniejsza jeszcze świerków i modrzewi. Ją odtworzyć na płótnie widocznem było zadaniem malarza. Zadanie to wypełnione z talentem. W całym układzie obrazu i w kolorycie jest coś, co z bardzo daleka przypomina manjerę Corot. O znacznej części pejzażów dzisiejszych to samo powiedzieć można. Każda z powodzeniem dokonana reforma wyradza tłumy katechumenów. Corot w krajobrazie znakomitym był reformatorem. „Jeden jest Bóg i jeden Corot“ na pewien przeciąg czasu, oto hasło debiutantów w tym rodzaju malarstwa.

IV.) 58. *Matejko.* Poświęcenie dzwonu „Zygmunta“ 1521 w Krakowie. Najtwardszy orzech do zgryzienia. Wiemy, jaką miłością publiczność polska, otacza utwory znakomitego tego mistrza. Wiemy, iż każde targnięcie się na narodową jego sławę, fałszywem w sercach narodu odbić się musi echem. A jednakże pisząc z Paryża, gdzie ostatni utwór artysty dość ostrym ulega krytykom, nie możemy krytyk tych zupełnem pominąć milczeniem. Czyniąc tak, ubliżylibyśmy godności mistrza, który dość silny sądów się nie boi, który rozumny człowiek, nie ma

się za nieomylnego, który wreszcie wystawiając obraz swój w Paryżu, nie na same tylko wystawił go pochwały. „Pierwszy rzut oka na obraz ten oślepia,“ mówi jeden krytyk. „Bryła to rzekłbyś kryształu, południowym słońca oświecona promieniem. Istne charivari (kocia muzyka) kolorów. P. Matejko zapomniał zda się o zasadniczych prawach optyki i harmonji. Zgromadziwszy w kupę wszystkie jaskrawe odcienia swej palety, nie umiał rozporządzić niemi, rozłożyć ich jak trzeba.“ „Nie widzimy postępu w panu Matejce“—powiada drugi—„ostatni obraz jego, to rzekłbyś wyścigi barw krzyczących, która prędzej i boleśniej patrzącego zadraśnie oczy.“ „Przezwyciężcie to pierwsze wrażenie,“ dodaje najłaskawszy „ryzykując ślepotę, wpatrzcie się w to farb ognisko, a uderzy was artystyczne wykończenie stu jeśli nie więcej zgromadzonych w obrazie postaci. Każda z nich drobnym a wyrazistym jest portretem, każda wybornie oddanym a właściwym sobie odznacza się charakterem. Szkoda, iż tak wielki talent czuje się być obowiązanym krzyczeć tak głośno. I bez tego znawców dosłyszałoby go ucho.“ Na tem zakończymy wyciągi z tutejszych recenzji. Czego one dowodzą? Tego, iż pan Matejko popsuł świat poprzedniemi swemi arcydziełami, iż do zbytnich wymagań dał ludziom prawo, iż nakoniec artyście, co się do takich jak on wzbił wysokości, nietylko cofnąć się, ale i stanąć nie wolno. Otóż z „Sejmem rozbiorowym“, z „Kazaniem Skargi,“ z „Unją,“ z „Batorym“ w pamięci, najzaciętszy nawet wielbiciel talentu pana Matejki, a nikt nim więcej od nas być nie może—„Poświęcenie dzwonu Zygmunta“ będzie musiał nazwać chwilką zastoju.

V.) 59. *Mikulska* (panna). „Spoczywająca dzieweczka.“ Panna Mikulska sposobiła się do artystycznego zawodu w pracowni pana Chaplin. Tego dosyć. Co się o koleżance jej Joannie Bôle (pannie de Toulza) wyżej powiedziało to by tu dosłownie powtórzyć trzeba. A zatem?...

VI.) 60. *Rodakowski.* Portret brata artysty, pułkownika w austrjackiej służbie. Ani zły, ani bardzo dobry. Ani to powiększy skrzętnie wypracowanej malarza wziętości, ani też nie zmniejszy jej o wiele. To wszystko, co o nim powiedzieć można.

* * *

Możliwą rządząc się wstrzemięźliwością, z dwutysięcznej przeszło gromady sześćdziesięciu tylko przedstawiamy wam malarzy, a mimo to całe papieru zapisaliśmy zwoje. Inne gałęzie wystawy: rzeźba, rysunki, litografja, architektura, drugiego takichże rozmiarów, jeśli nie więcej wymagałyby sprawozdania. Nie chcemy wyczerpywać i tak już nadużytego pobłażania czytelników. Poprzestając na dokonanem, zawijamy do portu, zawijamy do portu z tem przekonaniem, żeśmy zrobili, cośmy zrobić mogli, że jeśli niniejsza praca sporą liczbą koniecznych uderza niedokładności, to te nie z braku szczerych chęci, nie z braku usilnych starań, ale raczej płyną z braku kompetencji dostatecznej.

A ten ostatni niestety nie naszą jest winą. Czem chata bogata, tem rada.

Do przyszłego listu

J. S. Chamiec.

P. S. W chwili gdyśmy list nasz zamykać mieli, wyczytujemy w dziennikach decyzję komisji nagród za tegoroczną wystawę, i takową wam prosto z pieca na ostatnie posyłamy danie.

Trzech artystów: pp. Jacquet, Courtat (!), Goupil (!!) pierwszej klasy otrzymali medale. Zbłądziłby, ktoby decyzję oną uważał za nieomylną i od niej do niedalekiej nie apelował przyszłości.

O wszystkich trzech medalowanych, w sprawozdaniu niniejszem znajdziecie wzmiankę.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Niewiasta polska w początkach naszego stulecia (1800 — 1830 r.) przez K. Wł. Wojcickiego. Warszawa — Glücksberg 1875. str. 348.

Niezmordowany Nestor piśmiennictwa polskiego, p. Wojcicki, wydaniem powyższej książki wplótł świeżą różę do wianka swych prac literackich. Wytrawnem i lekkiem piórem skreśla autor obraz niewiasty polskiej w jej dziejowym rozwoju w okresie lat trzydziestu od r. 1800 — 1830. W pierwszych rozdziałach przyjmuje autor ogólną zasadę, iż prawdziwy typ dziewicy polskiej w jej całym majestacie jako: kochanki, matki i obywatelki znajdujemy wyłącznie w ziemiankach, córkach szlacheckich rodzin, które ideał najczystszej miłości wśród różnorodnych życia przygód przyblekały w czarowne szaty i ucieleśniały ten ideał wobec mężczyzn nietylko krasą lic ale niewinnością myśli i szlachetnością uczuć. Miłość pojmowały zawsze poważnie, a wszelka lekkomyślność w tym względzie była naleciałością Sasów, później epoki Stanisławowskiej. Na potwierdzenie powyższego zdania przytacza autor liczne przykłady z dworu wiejskiego szlachcica, osnute we wszystkich szczegółach na rodzinnej tradycji i uwydatnia nam z prawdą historyczną szlachetność uczuć i uczciwość serc całej ówczesnej społeczności. W następnych rozdziałach skreśla nam autor niewiastę polską, jako reprezentantkę piśmiennictwa narodowego, stan ówczesny jej wychowania, kształcenia i moralności, opowiada, jak wśród burzliwej doby Napoleońskich wojen i wychodźtwa braci umiała zawsze pogodzić obowiązki względem swej ojczyzny z uczuciami własnego serca. Przytacza nam autor z ostatnich lat księztwa Warszawskiego postacie niewiast polskich jako: Marję Annę Czartoryską, pierwszą ówczesną powieściopisarkę, Gertrudę K., Elżbietę Jaraczewską, Klementynę Tańską, barwiąc żywym kolorytem epizody z ich życia, które nam mają szczegółowo odźwierciedlić stan ówczesny niewiast polskich ich ukształcenia i wychowania. W książce tej, napisanej z gruntowną znajomością danej epoki i familijnych stosunków, znajdzie młodsze pokolenie czytelniczek sława wiary, nadziei i prawdziwej miłości, jakoteż cenne wskazówki dla wyrobienia rozumu i uszlachetnienia serca — literat zaś odszuka tam bogaty materjał do bjografii i charakterystyki literatek polskich w tymże okresie żyjących. Układ całej książki formą i stylem popularny, przeplatany żywem opowiadaniem, okazuje gruntowną znajomość rzeczy i jest cennym przyczynkiem do historyi życia niewiasty polskiej.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Z Wędrowca dowiadujemy się, że kosztem hr. Krasińskiej mają być wydane wszystkie dzieła Zygmunta Krasińskiego, illustrowane przez młodego a wielce utalentowanego artystę Miłosza Kotarbińskiego.

— Jerzy Rathlef wydał w Dorpacie zajmującą dla historyków Litwy rozprawę o stosunku zakonu kawalerów mieczowych do biskupów krajowych i miasta Rygi w wieku XIII i w pierwszej połowie wieku XIV. Rozprawa ta wyszła w języku niemieckim.

— W teatrze „Vaundeville“ w Paryżu 19. czerwca przedstawiono nową komedję „Le procés Veauradieux“ pp. Delacour i Hanequin z niezmiernem powodzeniem.

— Niedawno zmarły Charles Rémusat pozostawił po sobie w papierach rękopis dramatu pt. Abelard i Heloiza, w której cierpienia tej legendarnej pary z porywającą siłą mają być przedstawione. Spadkobiercy zgadzają się podobno na wydanie tego dramatu na widok publiczny.

— W teatrze medjolańskim przedstawiono nową operę pt. „Dolores.“ Twórcą jej jest Auteri. Publiczność przyjęła ją z wielkim zapałem.

— W Paryżu od 15. sierpnia b. r. przy sposobności drugiego międzynarodowego geograficznego kongresu urządzoną zostanie za staraniem i pod przewodnictwem osobnej komisji wystawa przedmiotów odnoszących się do geografji i z nią spokrewnionych umiejętności.

— Jak już donosiliśmy, w Brukselli zawiązał się komitet, mający na celu urządzenie w lecie r. 1876 międzynarodowej wystawy środków leczniczych, połączonej z kongresem lekarzy i chirurgów, których zadaniem będzie rozebrać i rozstrzygnąć wiele kwestji tyczących się cierpiącej ludzkości. Obecnie pozawiązywały się już komitety pomocnicze w Niemczech, Francji, Anglji i Austrji. Koszta tego przedsięwzięcia obliczono na 600.000 frank. a mają one być pokryte z wypuszczonych akcji po 200 fr., które już w większej części rozebrano.

Wynalazki i podróże.

— „Ruski mir“ pisze, że jeden z technologów rossyjskich p. Saburow wynalazł masę na nasypy dróg żelaznych. Nasyp zalany tą masą nabiera takiej trwałości, że przez wiele lat nie wymaga żadnej reparacji. Pan Saburow stara się o pozyskanie przywileju na swój wynalazek. Prócz tego zamierza on starać się, aby ministerstwo komunikacji udzieliło mu pozwolenia na odbycie prób na pewnej przestrzeni nasypu którejkolwiek drogi żelaznej. Koszt nasypu z zastosowaniem do niego masy wynalezionej przez p. Saburowa nie przewyższa kosztu urządzenia go zwykłym sposobem, wziąwszy jednak na uwagę, ile zyskuje na trwałości, użycie masy p. Saburowa stanowić by powinno znakomitą korzyść i oszczędność.

— W muzeum przemysłowem kasselskiem wystawione są obecnie różne papierowe wyroby japońskie. Czasopismo „Natur“ podnosi mianowicie trwałość japońskiego papieru, zwłaszcza tego, co używany bywa na materję na suknie. Wyrabiają go Japończycy w ten sposób, że pocięty w szersze lub węższe paski i zaprawiony na kamieniu w. pnem, skręcają na kołowrotkach na rodzaj nici, z których dopiero tkają materje, najczęściej przeplatając je jedwabiem. tak, że nici papierowe krzyżują się jedwabnemi. Łatwo więc zrozumieć, dla czego papierowe suknie japońskie posiadają większą trwałość od sukień wyrobu europejskiego i nie niszczą się po pierwszym deszczu jak te ostatnie. Japończycy wyrabiają swój papier z łyka drzewa morwowego, które dobrze rośnie także w południowej i środkowej Europie, a z której to okoliczności skorzystaćby powinni fabrykanci europejscy.

— Angielska wyprawa polarna pod przewodnictwem kapitana Jounga, której zadaniem jest zbadanie kraju króla Wilhelma oraz passażu północnozachodniego i odszukanie, jeśli możebna, szczątków expedycji Franklina—wyruszyła dnia 23 czerwca z Southampton na yachcie parowym „Pandora“, w okolice podbiegunowe. Spodziewa się ona skończyć swoje badania na tamtejszych morzach dosyć jeszcze wcześnie, ażeby módz wrócić do Anglji około listopada b. r. Jednocześnie z Portsmouth wypłynęła druga ekspedycja podbiegunowa na okrętach „Alert“ i „Discovery“. Składa się ona z 60 ludzi i 30 psów. Wszystko to rozlokowane na dwu okrętach Alert i Discovery. Do nich dołączonych jest jeszcze 18 maleńkich łódek, zbudowanych podług nowego modelu i 35 sanie zaopatrzonych w artykuły żywności, co świadczy o niezłomnem postanowieniu członków wyprawy dotrzeć tym razem do krainy lodów, która dotychczas zdawała się niedostępną dla człowieka. Dalej wyprawa zaopatrzoną jest w butelki owinięte skórą dla ochronienia od mrozu, w noże dla rozrzynania lodu, w puszki z prochem i lunety. Wszystkie te przedmioty były wystawione w Portsmouth, zkąd wyruszyła wyprawa. Alert naładowany jest pięciu tonami spirytusu winnego, dziesięciu tonami chleba i ogromną ilością wszelkich możebnych zapasów. W ogóle oba statki wybornie są urządzone i odznaczają się komfortem angielskim. Podróżni nie dostrzegli prawie z przejścia z murów swego domu do kajut okrętowych.

— Gazeta „Philadelphia Ledger“ pisze, że niejaki Mark Grayson, który przedsięwziął pi szo podróż naokoło kuli ziemskiej, wyruszył w sobotę 3. kwietnia z ratusza miejskiego w Nowym Yorku z warunkiem, aby we wtorek 23 listopada 1876 znów powrócił na to miejsce. Długość całej drogi wynosi 19.220 mil; na jeden dzień wypada przeszło 30 mil.

ROZMAITOŚCI.

— Znany z uczonych podróży po Afryce Dr. Nachtigall na ostatniem posiedzeniu berlińskiego Towarzystwa geograficznego opowiadał zajmujące szczegóły o państwie afrykańskiem Waday, położonem na zachód od państwa Bornu a na wschód od Darfuru. Król Waday, zamieszkujący stolicę Wara, panuje nad obszarem 3000 mil kwadratowych i 3 miljonami mieszkańców. Ustawy państwa wymagają, ażeby król był szlachetnego rodu, posiadał w pełni wszystkie zmysły i umiał panować nad

swojemi namiętnościami; przedewszystkiem zaś, ażeby święcie dotrzymywał danego słowa, którego mu cofać lub odwołać pod żadnym warunkiem nie wolno. Dlatego też żyć on musi nadzwyczaj skromnie, nie wolno mu nawet spożywać najulubieńszej w tym kraju potrawy, jęczmienia; natomiast zaś dogadzają mu aż do przesady pod każdym innym względem, mianowicie co do przyjemności cielesnych. Posiada nadzwyczaj liczny dwór i harem. Szczególniejszą rolę odgrywa na jego dworze tak zwany „książę kowali". Jest to lekarz nadworny i cyrulik w jednej osobie, który nadto ma obowiązek obyczajem wschodnim oślepiać wszystkich bratanków i siostrzeńców nowokreowanego monarchy Waday, oraz urządzać pogrzeby zmarłych królów. Dawniej król osobiście zasiadał przed zamkiem na roki sądowe każdego dnia świątecznego, codzienne sądownictwo pozostawiając dworzanom; obecny monarcha zaś, Ali, który w ogólności jest nadzwyczaj surowym i sprawiedliwym w przestrzeganiu ustaw, sam codziennie odbywa sądy, a nadto o każdym ważniejszym wypadku każe sobie zdawać sprawę. Kradzież karaną bywa w Waday za pierwszą i drugą razą grzywną, lecz już za trzecią razą śmiercią, tak samo jak rabunek dokonany z bronią w ręku. W rozmaity sposób wykonywane bywają egzekucje na zbrodniarzach. Zwyczajnych złoczyńców duszą niewolnicy królewscy; skazani na śmierć za gwałt publiczny lub zbrodnię polityczną traceni bywają przez skręcenie karku. Królobójców wbijają na pale lub rzucają na deski nożami wysadzane. Z podrzędnych organów władzy państwowej godnymi są wymienienia tak zwani „Futechis", których obowiązkiem jest czuwanie nad wyszynkiem gorących napojów, zwłaszcza zaś piwa. Agenci tej władzy krążą po całym kraju, konfiskują piwo, gdzie je tylko znajdą, i nakładają karę grzywien na przestępców, których żonom za karę golą głowę. W wojnie sam król obejmuje naczelne dowództwo nad swą armją, liczącą 45.000 żołnierza i aż do stanowczego spotkania stoi na czele zastępów. W razie wielkiego niebezpieczeństwa król, widząc że wszystko stracone, każe rozścielać na ziemi kobierzec, siada na nim i jak bohater rzymski z stoickim spokojem oczekuje śmierci.

— Z pięknej i wyczerpującej pracy radzcy ministerjalnego Kluna z Wiednia, p. t. „Ungarland", wyjmujemy następujący ustęp, jako rzucający nader żywe światło na tak zwaną „pusztę" węgierską i jej koczownicze zaludnienie. „Puszta" — powiada p. Klun, — są to bezdrzewne, ogołocone z wsi i pomieszkań ludzkich olbrzymie pastwiska, krajobrazy stepowe z tak silnie orjentalnym typem, iż ujrzawszy je, sądzisz się być w Azji Środkowej. Te bezmierne przestrzenie, tu przedstawiające nieprzejrzane okiem ławy lotnego piasku, tam kołyszące się zieloną trawą stepów, owdzie czerniejące żyzną rolą, po za którą tuż idą topiele i bagniska, ciągną się bez przerwy na takiej rozciągłości, iżby z niej niewątpliwie tuzin księstewek niemieckich wykroił. Na tych nieprzejrzanych okiem pastwiskach pasą się tysiące wołów, koni i owiec przez lato i zimę. „Puszta" nie jest pustynią; przeciwnie rozwija się na niej niezmiernie bogate życie w stanie natury. Obcego tylko, gdy wstępują w nią, dreszcz osamotnienia przenika. Naprόżno szuka wzrok, gdzieby odpoczął, jakiego pagórka, lasu, lub zwiastunów ludzkiej pracy i cywilizacji: wsi i domu,—nie widać nic tylko stepy bez końca, po których czasami jedynie samotny jeździec, okryty tumanami kurzu, w szalonym pędzie przeleci. Słońce pali nieubłaganie, a w wibrującem, rozpłomienionem powietrzu pojawi się niekiedy sęp, lub ochrypłym głosem odezwie się kukułka, wnet zagłuszona niezliczonych stad wronich krakaniem. I znowu robi się, spokojnie, samotnie; żaden dźwięk niepotrąca ucha, znikąd głosu ludzkiego, nawet krzyk zwierzęcy nie zwiastuje bliskości jakiejkolwiek żyjącej istoty. Tylko fale rozgrzanego powietrza i chmury układają się w złudne fatamorgana, tu zwane „Delibab" w fantastyczne i pełne kapryśnych odmian obrazy. W zimie zaś miejsce trawiącego żaru słonecznego zastępują śnieżyce i wichry szalejące straszliwie. Po długiej, długiej po tych stepach podróży zamajaczy wreszcie przed tobą słomiana strzecha, to „czarda" stepowa karczma. Jest to nędzna lepianka, w której jednak dostaniesz wody, wina, wódki i słoniny. Jeżeli się zdarzy, że przypadkiem zastaniesz w niej pewną liczbę „szegeny legeny" tj: synów puszty, wówczas przedstawi się oczom twoim rzeczywiste, pierwotne, dzikie życie Madjarów. Taki „syn puszty" nigdzie nie zagrzeje miejsca; przelatując wciąż na zwinnym koniku, od jednego punktu stepów na drugi, żyje z rabunku, albo z kradzieży wołów i koni, pokąd nie wpadnie w ręce sprawiedliwości. Ale popatrz na niego, teraz w karczmie! Oto przy ognistej muzyce cygańskiej puszcza się Czardasza, hulaszcza pieśń wstrząsa ścianami karczemki, a gdy mu gospodarz poda wreszcie pieczeń z owcy, wieprza lub cielęcia, upieczoną przy ogniu ze słomy i nawozu a nadto ognistego wina nie żałuje, nasz wesoły „syn stepów" dyszy wolnością i radością, nie dbając, jaka krata więzienna, Szegedynska, czy Szolnokska go czeka. Oprócz tego syna, ma jeszcze „Puszta" i drugiego. Jest nim pasterz. Odróżniają ich cztery rodzaje: „juhász" pasterz owiec, „gulyás" pasterz wołów, „kanás" pastuch świń i „csikós" pasterz koni. Najłagodniejszym i najsforniejszym z pomiędzy nich jest niewątpliwie pasterz owiec, który albo jest naczelnym pasterzem „juhász-gazta" albo też podwładnym, „bojtár". Kobza, osieł obładowany kożuchami i wiktuałami i olbrzymi wilczej rasy kundel są nierozłącznemi towarzyszami juhasza ubranego w lekkie płócienne szarawary i w koszulę napojoną tłuszczem. W zimie przywdziewa on ciasno przylegającą błękitna kamizelę, z błyszczącemi guzami, futrzane spodnie i kożuszek. Przy szerokim, skórzanym pasie jego wisi kapciuch z tytuniem i przyrządy do wydobycia ognia; na głowie ma kapelusik z wygiętemi w dół kresami a w ręku długą okutą pałkę „fokos" Prowadzi życie marzące, wpół senne. Stada strzegą psy, przed któremi wilk ucieka, a on tymczasem „przedymia życie"—jak powiedział Lenau, — oparty na kiju, lub rozciągnięty w bujnej trawie, puszczając gęste kłęby z fajki, zagłębia się w marzeniach lub wyraża mgliste uczucia w postaci dzikiej pieśni o niejasnych słowach. Czasami dla odmiany wyrzyna łyżki drewniane, tka wełniane rękawice i buty, lub grą na kobzie i piszczałce sprawia sobie artystyczną roskosz w swoim rodzaju. W każdym razie, jest to względnie do innych pasterzy jagnięca natura. Już o wiele dzikszym jest pasterz wołów, po największej części na wielkich, piaszczystych i trawiastych płaszczyznach pomiędzy Dunajem a Cisą strzegący stada swych wołów, o potężnych. długich na 3 do 5 stóp, rogach. „Gulyás" ma wiele podobieństwa do azjatyckich Nomadów; dwukołowy wóz jego służy mu za dom i skład potrzebnych zapasów. Napół zdziczałe woły, latem i zimą nieznające dachu, trudno nieraz poskromić. Ale „gulyas" na ognistym koniu swoim obiega w galopie całe stado i nie cofa się nieraz przed niebezpieczną bardzo walką. Nie jednego byka chwyta za rogi i potężnym rzutem wali na ziemię, lub przytrzymuje, podczas gdy towarzysz odpiłowuje ostre końce rogów wściekającemu się zwierzęciu. Częstokroć nawet dla zabawy walczą ci silni i świadomi siły swojej pasterze z rozdrażnionemi bykami. Słonina i chleb są ich zwyczajną strawą; czasami tylko jako przysmak świąteczny przyrządzają sobie „gulyas" z drobno pokrajanych kawałków cielęciny lub wołowiny, przesyconych cybulą i papryką i uduszonych w rynce blaszanej. Jeśli znajdzie się jeszcze do tego wino i tytuń, — gulyas nie mieniałby się z żadnym królem. Naturalnie strój ich odpowiada takiemu życiu. Główną jego częścią jest „bunda" (kożuch) służący zarazem za kożuch i za parasol; pod nią znajduje się koszula płócienna i takież szarawary; wszystko to czarno siwe. Jak u każdego prawdziwego Madjara za pasem tkwią: kapciuch, krzesiwo i nóż potężny; długi bicz i tęga guzowata pałka zastępują miejsce berła i miecza. Tuż za pasterzem bawołów „bivaly-csordás" stojącym nieco niżej od pasterza wołów, idzie najniesforniejszy, najdzikszy, najbardziej nieokrzesany i często najniebezpieczniejszy syn „puszty" — „kanás", pastuch świń. Chów świń odbywa się na największą skalę w wielkich lasach dębowych i bukowych, w Bihar i puszczy Bakony. Tam tysiące tysięcy krząkających czworonogów się pasie. Jaki wpływ wywiera rodzaj zajęcia i otoczenie na ludzi najlepszym tego dowodem, jest „kanás". Piecza nad upartemi i wstrętnemi bydlętami, ciemne lasy i dymiące bagniska, brak wszelkiego ludzkiego towarzystwa, ciagła walka z półdzikiemi, żarłocznemi i żrącemi się między sobą zwierzętami, zrobiły z „kanasa" najdzikszą istotę, postrach sąsiadów i podróżnych. „Kanas" i „betyar" (rozbójnik), to prawie synonimy! Podróż przez puszczę Bakony, będącą ich stolicą, była niegdyś hazardem nielada; a i dzisiaj, choć miejsce pod tym względem bezpieczniejsze, „kanás" się bynajmniej nie zmienił. Z potężnym biczem w ręku i siekierką osadzoną na smagłej rękojeści, którą pewną ręką rzuca pomiędzy walczące ze sobą bestje i zawsze trafnie ugodzi, oparty na pniu drzewa i kłębu dymy puszczający, kieruje „kanas" swoją, nieobejrzaną prawie okiem trzodą. W stroju jego odbija się zajęcie jego i towarzystwo, w jakiem żyje. Zatłuszczona koszula dostaje mu zaledwie do pasa, a szerokie, luźnie wiszące jej rękawy służą mu do ocierania zwalanej krwią lub pyłem siekierki, a również zastępują miejsce chustki do nosa. Kaftan i pas ciasno przylegające, są barwy nierozpoznalnej; niegdyś jedno było niebieskie a drugie czerwone. Nogi w onuckach i skórzanych kamaszach rzemieniami lub postronkiem ściągniętych. Na barkach, jako płaszcz, wisi koc, z przodu spięty rzemieniami i mosiężnemi sprzączkami; rękawy związane w końcach, służą za skład na tytuń, słoninę, fajkę, chleb, flaszkę z wódka, słowem do wszystkich zapasów. Zupełną sprzeczność z „kanasem" stanowi kształtna elastyczna postać „csikósa" pasterza konie, „Csikós" jest pierwowzorem, właściwym przedstawicielem rasy madjarskiej; słusznie możnaby go nazwać Beduinem Europy. Lekki jest i niestrudzony, jak koń jego; obadwaj żyją nierozłącznie; powiedzieć można, że istnieje rozumna, najściślejsza przyjaźń między niemi. Od dziecka wspina się „csikós" na konia, a aż do siwego włosa i do stężenia członków całe życie jego jest nieprzerwanym łańcuchem najzuchwalszych i najosobliwszych przygód. Jak rozkochany w koniu swoim Arab, i on przywołuje swoje koni, pieszczotliwemi nazwy; zna pochodzenie każdego z nich, jego wady i cnoty i rozpowie ze wschodnią żywością historję każdego ze swoich ulubieńców. Nagle wskakuje na wspinającego się konia, którego jeszcze nigdy siodło nie tknęło i w mgnieniu oka, znika. Przed tobą pomykają i tłoczą się sta i tysiące dzielnych koni, za nimi uganiają w szalonych rzutach dzielne „csikosy" z biczem lub długiem lasso w ręku, które zarzucają ze zdumiewającą zręcznością na szyję wybranego rumaka. „Csikós" jako jeździec w armji stwarza najdzielniejszą kawalerję, której natarciu nic oprzeć się nie może. Strój jego stanowią koszula płócienna, takież same spodnie, błękitny opięty kaftan i kożuszek czyli „dołman" spięty z przodu sprzączką lub sznurami; na głowie ma maleńki pilśniowy kapelusz, z wyciągniętą na dół kresą i długiem piórem; na nogach wreszcie powyżej kolan sięgające buty z szeroką cholewą, w której się mieści fajka i inne podręczne przedmioty. Rozumie się, iż nie braknie mu „fokosa", okutego kija, który w ręku każdego Madjara, od najdostojniejszego magnata w Buda Peszcie aż do ostatniego „kanasa" w mniej lub więcej wyrobionej formie znaleźć się musi. Prawdziwie malowniczy to widok, gdy cieplym letnim wieczorem na obszernej płaszczyznie rozwiną się stada nieprzejrzane koni a przy nich roje smukłych, zuchwałych, ścigających się „csikosów". Zachodzące słońce złote blaski rzuca na tę scenę. Powoli w niezmierzoną dal rozpięty widnokrąg staje się blado żółtym, czerwonawym, ciemno czerwonym nareszcie ciemno błękitnym. Wieczór poczyna ustępować nocy. Stada ciągną przy dźwięku harmonijne powiązanych brzękadeł do swoich stanowisk; ciemność zapada; chłodny i wilgotny wiatr pociąga przez nieogarnioną „pustę"; pasterze rozpalają nocne ogniska—i naraz rozbrzmiewa dziwna, dzika pieśń węgierska, roztapiając się w molowych akordach. Noc zapadła. Wokoło cisza i ciemność na rozległem pastwisku; żaden dźwięk nie zamąca tego melancholijnego milczenia pustyni, uczucie samotności i opuszczenia ogarnia cię i przenika".

Treść Nr. 28.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).